



LAURA MACDONALD



***Z dzieckiem
w ramionach***

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Skalpel. Skalpel! Siostrze, czy pani mnie słyszy?

- Och, przepraszam. - Zadowolona z faktu, że maska zasłania jej zaczerwienioną twarz, Jo Henry wzięła z tacy skalpel i podała go chirurgowi. Jednocześnie zauważyła, że pozostali członkowie zespołu operującego przyglądają się jej z lekkim rozbawieniem.

Była tak zaabsorbowana sprawdzaniem, czy narzędzia są odpowiednio ułożone, że nie usłyszała pierwszej prośby chirurga.

Usiłując ukryć zmieszanie, zerknęła spod oka na anestezjologa. Siedział obok pacjenta, zajęty kontrolowaniem jego ciśnienia i oddechu, lecz teraz spojrzął na nią przez okrągłe okulary w metalowej oprawie. Przenikliwość tego spojrzenia wprawiła Jo w jeszcze większe zakłopotanie; spuściła oczy, usiłując skupić uwagę na przebiegu operacji.

Ostatni pacjent operowany tego dnia był mężczyzną około trzydziestki. Stwierdzono u niego przepuklinę pachwinową, będącą bezpośrednim rezultatem dźwigania dużych ciężarów na budowie, gdzie pracował jako robotnik.

Chirurg wykonał nacięcie i wziął od Jo aparat do diatermii, aby zamknąć naczynia krwionośne. Wszyscy z zainteresowaniem obserwowali kolejne ruchy palców doktora Gallowaya, który zręcznie wsunął niepożądaną wypukłość z powrotem na miejsce.

Podczas zszywania rany Jo starannie przycięła szwy, a następnie sprawdziła, czy wszystkie używane podczas operacji waciki, igły i ostrza znajdują się na tacy, po czym założyła opatrunek. Gdy anestezjolog sprawdzał stan pacjenta i odłączał aparaturę, Jo zebrała narzędzia chirurgiczne.

- Pracujesz po lunchu? - spytała Pru, druga dyżurna pielęgniarka, gdy obie kończyły robić porządek w sali.

- Nie. - Jo przecząco potrząsnęła głową. - Podpisałam umowę tylko na pół etatu, ponieważ nie miałam wyboru, ale przydałoby mi się więcej godzin.

- Nie sędę, żeby tutaj coś się znalazło - z powątpiewaniem w głosie stwierdziła Pru.

- Cóż, pewnie będę musiała poszukać gdzie indziej - odparła Jo. - Zanim zostałam dyplomowaną pielęgniarką, ukończyłam kurs dla przedszkolank. Może poszukam w jakimś przedszkolu...

- A co z mieszkaniem?

- O to, na szczęście, nie muszę się martwić. Mam niedużą kawalerkę.

- To już jest coś - przyznała Pru.

- Dziękuję paniom. - Anestezjolog skończył porządkować swój sprzęt, wstał i skinął głową obu pielęgniarkom. Nie uśmiechnął się jednak, a gdy zdjął czepek i maskę, Jo zobaczyła, że ma krótko ostrzyżone włosy i oczy w niezwykłym, szarzielonym kolorze.

- Zawsze jest taki śmiertelnie poważny? - spytała, gdy wyszedł z sali.

- Tak, to bardzo spokojny człowiek. - Pru milczała przez chwilę. - Ale da się lubić - dodała, patrząc za nim w zamyśleniu, po czym znów odwróciła się do Jo. - Dlaczego postanowiłaś zamieszkać w Queensbury? - spytała z ciekawością.

- W dzieciństwie często tu przyjeżdżałam - wyjaśniła Jo.

Nie zamierzała wdawać się w szczegóły i opowiadać koleżance o rozstaniu z Simonem, związanych z tym przykrych przeżyciach, cierpieniu i przemożnej potrzebie rozpoczęcia wszystkiego od nowa. Pru nie okazała się wścibska i nie zadawała więcej pytań. Obie przebrały się, opuściły oddział chirurgii i udały się do zatłoczonego o tej porze szpitalnego bufetu.

- Może przed wyjściem wypijesz ze mną herbatę i zjesz kanapkę? - zaproponowała Pru.

Jo chciała się wymówić koniecznością powrotu do domu, lecz zmieniła zamiar.

- Z przyjemnością - odparła.

Właściwie dlaczego miałyby się śpieszyć do domu? Powinna raczej poznać trochę ludzi, z kimś się zaprzyjaźnić, a Pru sprawiała wrażenie naprawdę

sympatycznej osoby. Niewątpliwie mogła też zapoznać Jo z tutejszymi warunkami pracy.

- Cześć. Chyba nigdy tu pani nie widziałem.

Jo drgnęła. Była tak zatopiona w myślach, czekając na Pru, która poszła po napoje, że zapomniała o całym świecie. Teraz podniosła głowę i ujrzała ciemnowłosego, bardzo przystojnego młodego lekarza.

- Cześć. - Jego zaraźliwy uśmiech sprawił, że także się uśmiechnęła. - Rzeczywiście nie mógł pan mnie widzieć - przyznała - ponieważ jestem tu nowa.

- To najlepsza wiadomość, jaką dzisiaj usłyszałem. - Roześmiał się, ukazując białe, równe zęby. - Miło mi panią poznać. Jestem Jacobs. Marcus Jacobs.

- Jo Henry.

- Powiedz mi, Jo. - Usiadł na krześle, założył nogę na nogę, skrzyżował ramiona i zaczął się jej przyglądać z nie skrywanym zainteresowaniem. - Na którym oddziale pracujesz?

- Na chirurgii. - Znowu poczuła wypieki na policzkach. Nie znosiła siebie za to, że tak łatwo się czerwieni.

A co gorsza, Marcus Jacobs najwyraźniej zauważył jej zażenowanie. Był niesamowicie przystojny - miał piękne, czarne oczy i rzęsy, dla których każda dziewczyna chętnie popełniłaby zbrodnię. Biła od niego pewność siebie, wskazująca na to, że jest świadomy swojej atrakcyjności.

- Proszę, proszę - powiedział cicho. - Ja odbywam praktykę u doktora Hughesa... Możliwe, Jo, że będziemy współpracować.

- W ogóle go nie słuchaj. - Pru postawiła na stoliku tacę z jedzeniem. - On oznacza same kłopoty.

- Ależ Pru, jak możesz mówić coś takiego! Jestem zdruzgotany. - Przycisnął dłoń do serca. Jego słowa miały żartobliwy wydźwięk, lecz Jo przez chwilę wydawało się, że interwencja Pru zirytowała Marcusa.

- Nie wątpię, że jesteś - cierpko stwierdziła Pru - ale to nie zmienia faktu, że powiedziałam prawdę. Jo rzeczywiście jest tu nowa, a nowych trzeba chronić.

- Daj spokój, Pru. - Marcus wyraźnie się zachnął. - Jo gotowa pomyśleć, że jestem jakimś potworem, który na śniadanie pożera pielęgniarki.

- A nie? - Pru uniosła brwi, a rozbawiona jej miną Jo parsknęła śmiechem.

- Oczywiście, że nie! - Marcus także się roześmiał, czym zneutralizował lekkie napięcie. - Musisz pozwolić mi udowodnić, że jest inaczej - zwrócił się do Jo. - Idziesz w sobotę do klubu na wieczór w stylu lat siedemdziesiątych?

- Czy ja wiem... - Jo pytająco zerknęła na Pru. - Ty się wybierasz?

- Tak. Wszyscy tam idziemy.

- Wobec tego chyba też pójdę. - Marcus błysnął zębami w uśmiechu, więc dodała: - Jest tylko jeden mały problem...

- Jaki? - spytał szybko.

- Nie należę do tego klubu.

- To żaden problem. - Wstał. - Przyniosę ci formularz i załatwię sprawę twojego członkostwa. - Mrugnął do niej porozumiewawczo. - Do zobaczenia, dziewczyno. Miłego lunchu.

- Może teraz stanie się sympatyczniejszy - mruknęła Pru, gdy Marcus zostawił je same.

- Naprawdę taki z niego numer? - Jo odprowadziła Marcusa wzrokiem.

- Będzie próbował cię poderwać. Zawsze tak robi, zwłaszcza gdy chodzi o potencjalną ofiarę, której nie uświadomiono, jaką on ma opinię.

- Jest bardzo przystojny...

- I świetnie o tym wie. - Pru skrzywiła się znacząco.

- O mnie nie musisz się martwić. - Jo ugryzła kęs kanapki. - W tej chwili nikt, nawet czarujący pan Jacobs, nie sprawi, żebym uległa.

- Masz jakiś szczególny powód?

- Chwilowo mam dosyć mężczyzn - oświadczyła Jo lekkim tonem.

- Przykre doświadczenia? - W głosie Pru zabrzmiała nuta współczucia.

- Można tak powiedzieć. - Jo westchnęła. - Miał na imię Simon. Był młody, przystojny, robił karierę i obiecywał nieśmiertelną miłość...

- A jego zasadniczy feler?

- Obiecywał tę miłość nie tylko mnie.

- To rzeczywiście uzasadnia twoje chwilowe zniechęcenie do mężczyzn.

Jo skinęła głową i spojrzała na Pru.

- A co u ciebie? - spytała.

- U mnie? Och, moje romanse to księga samych klęsk. Wystarczy, że spojrzę zachęcająco i wszystko diabli biorą.

- Chyba dobrałyśmy się w korcu maku.

- Czy to pani jest Joanne Henry?

Jo zerknęła przez ramię i ujrzała młodą pielęgniarkę.

- Tak, to ja.

- Pan Gregson chciałby zamienić z panią dwa słowa.

- Pan Gregson? - Jo zmarszczyła brwi. - Kto to taki?

- Lewis Gregson to nasz anestezjolog - wyjaśniła Pru.

- Nie wiedziałam, że ma na imię Lewis - powiedziała Jo. - Czego sobie życzy?

- Nie mam pojęcia - odparła dziewczyna. - Poleciał mi tylko przekazać pani wiadomość. Czeka w pokoju pielęgniarki dyżurnej, ale prosił, żeby spokojnie skończyła pani lunch.

- Łaskawca z niego. - Pru zaśmiała się kpiąco.

- Jak sądzisz, czego on ode mnie chce? - spytała nieco zaniepokojona Jo, gdy pielęgniarka odeszła.

- Bóg raczy wiedzieć. - Pru dopiła herbatę.

- Może zamierza mnie zganić, bo jego zdaniem wszystko knociłam podczas tej operacji?

- Nie przypuszczam, żeby o to mu chodziło. Zresztą, radziłaś sobie zupełnie dobrze. - Pru wstała z krzesła. - A nawet gdyby coś mu się nie

podobało - ciągnęła - to nie do niego należy zwracanie ci uwagi. Powinien zgłosić zastrzeżenia do naszej szefowej, panny Alford. Idź więc do niego i przekonaj się, czego chce. - Zerknęła na zegarek. - Muszę lecieć. Za dziesięć minut mam być w sali operacyjnej. Do jutra, Jo.

- Cześć, Pru. I dzięki za lunch.

Pru szybkim krokiem wyszła z bufetu, a Jo przez chwilę się zastanawiała, dlaczego wezwał ją do siebie lekarz o twarzy pokerzysty.

Najpierw poszła do toalety. Tłumaczyła sobie, że robi to tylko po to, by się odświeżyć, ale prawdę mówiąc, chciała sprawdzić, jak wygląda, uczesać włosy i lekko umalować usta. Te drobne zabiegi miały dodać jej otuchy, ponieważ mimo zapewnień Pru była trochę zaniepokojona.

Patrząc na swe odbicie w lustrze zastanawiała się, jak naprawdę radziła sobie podczas dzisiejszej operacji. Może rzeczywiście popełniła sporo błędów? Ostatnio pracowała przecież na oddziale ortopedii, a nie jako instrumentariuszka. Czyżby aż tak bardzo zardzewiała?

Z westchnieniem włożyła puderniczkę do torebki, wygładziła długą spódnicę i włożyła żakiet. Teraz może się zmierzyć z tym, co ją czeka. Odetchnęła głęboko i udała się do pokoju pielęgniarki dyżurnej.

Lewis Gregson siedział za biurkiem i rozmawiał z Julianem Browne'em, przełożonym pielęgniarek.

- Oto i ona - rzekł Julian. Najwyraźniej właśnie o niej mówili. - Jeśli chcesz, skorzystaj z mojego gabinetu, Lewis. Tam nikt nie będzie wam przeszkadzał.

- Dzięki, Julian. - Doktor Gregson wstał i pozdrowił ją skinieniem głowy, po czym ruszyli do pokoju Juliana. Lewis zamknął za nimi drzwi, następnie wskazał jej krzesło stojące naprzeciw wielkiego biurka, sam zaś usiadł za nim. Wyglądało to oficjalnie i wzmogło niepokój Jo.

- Pewnie głowi się pani, w jakim celu poprosiłem panią tutaj - zaczął spokojnie Lewis.

Miał na sobie garnitur z ciemnoszarej wełny w delikatne prążki, śnieżnobiałą koszulę i gładki krawat. W tym stroju sprawiał wrażenie człowieka, który dobrze zarabia i w pełni panuje nad sytuacją.

- Owszem - przyznała Jo. - Czy ma to związek z moją pracą?

Rzeczywiście od dawna nie asystowałam podczas zabiegów chirurgicznych, ale jestem pewna, że wkrótce...

- Słucham?

Spojrzała na niego szybko, prawie z rozpaczą w oczach i stwierdziła, że jest najwyraźniej zdumiony.

- A więc nie chodzi o... moje umiejętności?

- Ależ skąd! - zaprzeczył energicznie. - Naprawdę, słowo daję. Proszę mi wybaczyć, jeśli pomyślała pani...

- To dlaczego? - Zmarszczyła brwi. - Nie rozumiem...

Jego słowa całkiem zbiły ją z tropu. Właściwie nie знаła tego człowieka, nawet nie została mu oficjalnie przedstawiona. Widziała go tylko raz, podczas operacji. Teraz spodziewała się nagany, co go najwyraźniej zdziwiło.

- Chciałem panią o coś zapytać. Przypadkiem usłyszałem pani rozmowę z koleżanką. Podobno szuka pani dodatkowego zatrudnienia.

- Tak, to prawda. - Ciekawe, do czego on zmierza.

- Słyszałem, że ukończyła pani kurs dla przedszkolank.

- Tak. Dopiero później przeszłam szkolenie dla pielęgniarek.

- To znaczy, że lubi pani dzieci?

- Oczywiście. Nawet bardzo.

- Ma pani jakieś doświadczenie w pracy z dziećmi?

- Raczej skromne. Po ukończeniu kursu opiekowałam się dwoma maluchami, ale kiedy wyjechały z rodzicami do Stanów, postanowiłam zostać dyplomowaną pielęgniarką.

- Rozumiem. Cóż, tak się zastanawiałem... - Patrzył na nią uważnie. -
Byłaby pani zainteresowana pracą na pół etatu? W charakterze niani trojga
dzieci.

- Trojga? - powtórzyła zaskoczona. Nie wyglądał na ojca rodziny.

- Tak, trojga małych dzieci. To posada tylko na pewien czas i moglibyśmy
dopasować godziny do pani dyżurów w szpitalu, żeby jedno z drugim nie
kolidowało.

Obserwował ją z nieprzeniknioną miną.

- Z czym konkretnie wiązałyby się ta praca? - Jo lekko pochyliła się do
przodu.

- Cóż... - Zdjął okulary i zaczął je polerować białą chusteczką do nosa. -
Chciałbym, żeby pani zamieszkała z nami.

- W waszym domu? - Zmierzyła go bystrym, zaciekawionym
spojrzeniem.

- Tak. Problem w tym, że z pewnymi obowiązkami całkiem sobie nie
radzę. - Westchnął i włożył okulary nie na nos, jak się spodziewała, lecz do
górnjej kieszeni marynarki. - Matka dzieci codziennie robiła mnóstwo rzeczy, na
przykład szykowała drugie śniadanie i ekwipunek na zajęcia sportowe,
pamiętała o wizytach lekarskich. Ja o wielu tych sprawach nie mam zielonego
pojęcia. Zaczynam się gubić.

Rozłożył bezradnie ręce, a Jo nagle zrobiło się go żal. Widocznie
niedawno owdowiał lub żona go rzuciła.

- Jak już mówiłem - ciągnął, gdy Jo gorączkowo zastanawiała się, co
powiedzieć - chodzi tylko o tymczasową opiekę, dopóki matka dzieci przebywa
za granicą.

A więc żaden z ciebie wdowiec, pomyślała Jo.

- Wie pan, jak długo to potrwa?

- W tej chwili nie. Widzi pani, to zależy od... - Urwał i znów westchnął. - Te dzieciaki są naprawdę miłe - dodał, znów patrząc Jo w oczy. - I nie sprawiają aż tak dużo kłopotu. Najgorsze jest to, że...

- Że tęsknią za matką - dokończyła za niego.

- Właśnie. - Chyba zdziwiła go trafność jej spostrzeżenia. - Bardzo im jej brakuje.

- W jakim są wieku? - spytała, gdy jego milczenie się przeciągało.

- Alistair, najstarszy, ma sześć lat - rzekł powoli, jak gdyby usiłował sobie przypomnieć wiek dziecka. - Francesca skończyła cztery, a Jamie ma... zaraz - aha, sześć miesięcy.

- Niemowlę? - słabym głosem jęknęła Jo.

- Byłby z tym jakiś problem? - Wyraźnie się zafrasował.

- Właściwie nie. - Lekko wzruszyła ramionami. Jak kobieta o zdrowych zmysłach może zostawić półrocznego niemowlaka? - Nie ma pan nikogo do pomocy?

- Dwa razy w tygodniu przychodzi pani do sprzątania, a wynajęta niania opiekuje się Jamiem, gdy jestem w szpitalu. Odbiera także Alistaira ze szkoły i Francescę z przedszkola, lecz chyba niedługo z tego zrezygnuje. Trochę pomaga mi sąsiadka, ale nie powinienem wykorzystywać jej życzliwości. W zeszłym tygodniu wziąłem parę dni urlopu, lecz na dłuższą metę to żadne rozwiązanie.

- Przecież mówił pan, że chodzi tylko o tymczasową opiekę.

- Ależ oczywiście - zapewnił. - Do powrotu ich matki. Ani wdowiec, ani porzucony, pomyślała Jo.

- Proszę od razu nie podejmować decyzji - poradził zaskakująco rześkim tonem. - Niech pani do nas wpadnie i zorientuje się w sytuacji.

- To niezły pomysł.

- Mogłaby pani przyjechać dziś wieczorem? - spytał. - O, do licha! - mruknął, ponieważ nagle zabrzączał jego pager. - Wzywają mnie. To co, przyjdzie pani?

- Jaki to adres? - Wyjęła z torebki pióro i notes.

- Aleja Mowbery, numer czterdzieści osiem. Dom nosi nazwę Chilterns.

- O której godzinie mam się zjawić?

- Może być około ósmej? - Skinęła głową, więc dodał: - Miejmy nadzieję, że do tej pory uda mi się zapakować dzieci do łóżek. Oby tak było. -

Uśmiechnął się. Bez okularów, które nadawały jego twarzy poważny wyraz, wyglądał z tym uśmiechem wręcz chłopięco. - Ma pani środek lokomocji?

- Tak, mam samochód.

- Świetnie. Do zobaczenia o ósmej.

Odniosła wrażenie, że jakby poweselał. Natomiast ona, idąc na parking i wsiadając do auta, była coraz bardziej zirytowana. Co, u licha, w nią wstąpiło, że zgodziła się na tę wieczorną wizytę?

Owszem, brakowało jej pieniędzy, ale powinna sobie załatwić więcej godzin na oddziale. A praca zaproponowana przez Lewisa Gregsona wydawała się wręcz przerażająca. Im dłużej o niej myślała, tym większego nabierała przekonania, że należy odrzucić tę ofertę.

Po pierwsze, nie chciała wyprawdzać się ze swojego mieszkania, i to nie wiadomo, na jak długo. Nie знаła powodów, które skłoniły żonę Gregsona do wyjazdu. Co będzie, jeśli postanowi pozostać za granicą? A w międzyczasie ona, Jo, może tak bardzo przywiązać się do owych dzieci, że będzie jej trudno wyplątać się z tej sytuacji.

Po drugie, zakres ewentualnych obowiązków może okazać się koszmarem. Gregson wspomniał o drobiazgach typu drugie śniadania i wizyty lekarskie. Ale zdrowy rozsądek podpowiadał Jo, że w praktyce będzie tych zajęć o wiele więcej. Na przykład góry rzeczy do prania i prasowania, odrabianie lekcji i niańczenie w środku nocy płaczącego niemowlęcia. A przecież ma jeszcze dyżury w szpitalu.

Bijąc się z myślami, dojechała na obrzeża Queensbury. W tej części miasta dominowała skromna zabudowa szeregową. Parkując auto przed jednym

z niedużych domków, podjęła decyzję. Zadzwoń do Lewisa Gregsona i powiedz mu, że się rozmyśliła.

W mieszkaniu panował spokój i cisza. Przez duże, wychodzące na południe okna wpadało sporo słońca. Jego promienie wesoło igrały wśród kolorowych bratków i prymulek w stojących na parapetach skrzynkach. Jo nie potrafiła sobie wyobrazić, że miałyby opuścić swoje miłe mieszkanko. Znalazła je po długich poszukiwaniach i bardzo polubiła. Był to jej własny dom, w którym mogła zamknąć się na cztery spusty i leczyć rany po przejściach z Simonem.

Teraz z ulgą padła na kanapę i zrzuciła pantofle.

W książce telefonicznej znalazła całą kolumnę Gregsonów, lecz żaden z nich nie mieszkał przy alei Mowbery. Zadzwoń do szpitala, lecz powiedziano jej, że doktor Gregson niedawno wyszedł. Połączyła się więc z kadrami, ale nie podano jej jego domowego numeru telefonu, ponieważ nie udziela się informacji na ten temat.

Nie pozostawało więc nic innego, jak pojechać do doktora Gregsona i powiedzieć mu, że nie podejmie u niego pracy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Aleja Mowbery okazała się spokojną ulicą wysadzaną wiśniami, a Chilterns - dwupiętrową ceglana rezydencją z czasów króla Edwarda.

Właśnie tak mieszkają dobrze zarabiający lekarze, pomyślała Jo. Zaparkowała swoje dość wiekowe auto przy krawężniku i przez chwilę przyglądała się domowi.

Zapadał już zmrok i właśnie zapaliły się uliczne latarnie. Około piątej przeszedł rześisty deszcz, który nasycił wodą trawniki i zostawił po sobie ogromne kałuże. Jo wysiadła, zamknęła drzwiczki na klucz i powoli ruszyła do wejścia. Pod jej stopami głośno chrzęścił żwir.

Na podjeździe stały obok siebie dwa samochody - duży range-rover i mniejszy, czerwony. Nieco dalej zobaczyła małe, lecz luksusowe sportowe auto w srebrzystym kolorze.

Właśnie się zastanawiała, do kogo należą te pojazdy, gdy nad wejściem automatycznie włączyło się światło. Jo drgnęła i zawahała się, po czym nacisnęła przycisk dzwonka.

Drzwi otworzyły się prawie natychmiast. Stanął w nich Lewis Gregson z palcem na ustach i niemowlęciem w ramionach.

- Szsz! - szepnął. - Dopiero go uspiłem.

- Przepraszam - również szeptem odparła Jo.

- Proszę wejść - powiedział przyciszonym tonem.

- Jeśli to nie jest odpowiednia pora...

- Ależ nie, cieszę się, że pani przyszła. Proszę bardzo. - Jedną ręką przytrzymał drzwi i Jo weszła do przestronnego holu. - Pozostała dwójka jest w łóżkach - oznajmił, zamykając drzwi. - Ale czy śpi, to już inna sprawa. Mamy za sobą cztery rundy gier, dwa kubki wody i trzy wyprawy na siusiu, więc chyba wykorzystaliśmy wszystkie wymówki, żeby nie iść spać.

Jo chciała od razu mu powiedzieć, że nie może przyjąć oferty, lecz jego nieprzerwany monolog sprawił, że pomaszerowała za nim po wyłożonej białoczarnymi kafelkami podłodze holu do wielkiego salonu. Na chwilę zatrzymała się na progu i przesunęła spojrzeniem po przepastnych, niewątpliwie wygodnych kanapach, beżowym, puszystym dywanie i niskich stolikach ze szklanymi blatami. Na wszystkich walały się stosy zabawek i dziecięcych książeczek.

- Przepraszam za ten bałagan. Nie miałem czasu posprzątać.

- Nie szkodzi. Chyba nie jest panu łatwo.

Wyglądał nieco inaczej niż w szpitalu. Przede wszystkim nie miał na nosie okularów. Prawdopodobnie nosi je tylko wtedy, gdy musi wysilać wzrok, pomyślała Jo. A w dżinsach i bawełnianej bluzie sprawiał wrażenie młodszego niż w garniturze i koszuli z krawatem.

Jo postanowiła wziąć się w garść. Nie powinna pozwolić sobie nawet na cień współczucia. Nie wyszłaby na tym dobrze.

- Od czego zaczniemy? - spytał, lecz nie dał jej czasu na odpowiedź. - Może najpierw chciałaby pani obejrzeć dom, żeby zobaczyć, gdzie co jest.

- Prawdę mówiąc... - głęboko odetchnęła - doszłam do wniosku, że... - Nie dokończyła, ponieważ niemowlę otworzyło oczy i zaczęło kwilić.

- Tylko nie to! - jęknął i spojrzał na dziecko. - Myślałem, że już skończyłeś dzisiejszy koncert. Właśnie zamierzałem położyć cię do łóżeczka, młody człowieku.

Młody człowiek rozplakał się jeszcze głośniejsze, jednocześnie usiłując usiąść. A na dodatek gdzieś zabrzączał telefon.

- Cholera! - mruknął Lewis. - Mogłaby pani wziąć go na moment? Pewnie dzwoni matka, żeby spytać, czy u nas wszystko w porządku.

Prawie wepchnął jej niemowlę w ramiona, sam zaś wyszedł z pokoju i starannie zamknął za sobą drzwi. Spróbowała uspokoić dziecko. Jamie był teraz na buzi czerwony jak burak i po każdym wrzasku łapał oddech.

- Daj spokój, malutki - zamruczała. - Nie ma sensu tak się męczyć. -
Przytuliła malca, opierając go o ramię i delikatnie poklepując go po plecach, zaczęła krążyć po pokoju. Płacz dziecka stopniowo cichł i w końcu przeszedł w pojedyncze chlipnięcia i czkawkę.

- No widzisz? - szepnęła. - Tak jest lepiej, prawda?

Gdy po pewnym czasie Lewis Gregson wrócił do salonu, niemowlę drzemało w objęciach Jo.

- Prawdziwa z pani czarodziejka. - W głosie Lewisa zabrzmiał podziw. -
Śpi jak suseł. Gdybym teraz go wziął na ręce, na pewno by się obudził.
Zechciałaby pani zanieść go do łóżeczka?

- Tak, oczywiście...

Przygryzła wargi. Sytuacja wymykała się spod kontroli. Lewis chyba uznał, że już znalazł opiekunkę. Należy położyć dziecko i jak najszybciej wyprowadzić go z błędu.

W milczeniu poszła za nim na piętro. Wtulony w nią Jamie smacznie spał. Zerknęła na niego i zobaczyła wilgotne długie rzęsy ocieniające zaróżowiony policzek i wijące się w fałdkach szyi delikatne loczki. Jedna maleńka rączka ścisnęła bluzę Jo. Dziecko pachniało niemowlęcą zasypką i mlekiem.

W przyćmionym świetle palącego się na podeście kinkietu Jo ujrzała uchylone drzwi do dwóch sypialni. Gregson minął je i wszedł do trzeciego pokoju.

Niewątpliwie był przeznaczony dla małego dziecka. Przy jednej ze ścian stało łóżeczko z wiszącą nad nim obrotową zabawką w postaci króliczków i słoni, a przy drugiej - biała komoda. Na jej blacie leżało mnóstwo drobiazgów do pielęgnacji niemowląt. Ściany ozdobił kolorowy alfabet i kilka plakatów z bohaterami kreskówek Disneya.

Lewis Gregson odchylił kołderkę, a Jo ostrożnie położyła w łóżeczku Jamiego. Wstrzymała oddech, gdy niemowlę poruszyło się, zakwiliło przez sen, po czym cichutko westchnęło i odwróciło główkę na bok. Jo delikatnie

podciągnęła kołderkę i wsunęła jej rogi głęboko pod materacyk. Przez chwilę przyglądała się śpiącemu maleństwu, następnie ponad łóżeczkiem spojrzała na Lewisa.

- Dzięki - powiedział.

- Nie ma za co. Przy odrobinie szczęścia prześpi słodko całą noc.

Oboje na palcach wyszli z pokoju.

- Dobrze zrobiłem, prosząc, żeby pani tu przyszła - stwierdził.

- Cóż... muszę z panem o tym porozmawiać.

- Myślałem o zatrudnieniu kogoś z agencji - ciągnął przyciszonym tonem, gdy zatrzymali się w korytarzu - ale nie mogłem się pogodzić z myślą o zostawieniu dzieci pod opieką obcej osoby.

- Przecież ja jestem obca. Poznaliśmy się dzisiaj, a dzieci wcale mnie nie znają.

- To prawda - przyznał - ale pracujemy razem, a to już coś. Dzieciaki na pewno panią polubią - najlepszy dowód, jak zareagował na panią Jamie. Wiem też, że w kadrach przedstawiła pani świetne referencje. Pozwoliłem sobie spytać o to Juliana. Nigdy nie za dużo ostrożności, gdy w grę wchodzi dzieci.

- Oczywiście. - Zabrzmiało to prawie jak jęk.

- Poza tym w agencji lub z ogłoszenia trudno znaleźć kogoś na krótko. Natomiast pani może to być na rękę, skoro na razie czeka pani na możliwość dodatkowego zatrudnienia w szpitalu. A tam z pewnością coś się niebawem trafi.

- Panie Gregson... - Jo wzięła głęboki oddech.

- Lewis - poprawił szybko. - Mówmy sobie po imieniu, dobrze?

On ma rzeczywiście ładne oczy, zwłaszcza gdy pozwala sobie na uśmiech, pomyślała.

- Dobrze. Słuchaj, Lewis, naprawdę muszę z tobą o tym wszystkim porozmawiać.

Przez moment wpatrywał się w nią zaskoczony.

- Och, naturalnie. Wybacz, chyba trochę się zagalopowałem. Przecież chciałybyś wiedzieć, jakie są warunki i wynagrodzenie...

- Szczerze mówiąc, zamierzałam...

- Zaraz omówimy te sprawy, ale najpierw się rozejrzyj.

- Podszedł do uchylonych drzwi i delikatnie otworzył je nieco szerzej. -

To pokój Franceski - szepnął.

Gdy jej wzrok przyzwyczaił się do panującego tu mroku, dostrzegła łóżko i rysującą się pod kołdrą sylwetkę małej dziewczynki. Jej ciemne loki były rozrzucone na poduszce, a jedno ramię obejmowało szmacianą lalkę. Lewis przymknął drzwi sypialni i otworzył sąsiednie.

- A to pokój Alistaira.

Ujrzała na łóżku skłębioną kołdrę, spod której wystawała odziana w piżamę dziecięca pupa.

- Panie Gregson... Lewis - nagłym tonem szepnęła Jo.

- Możemy porozmawiać?

- Tak, oczywiście, chodźmy. Na dole będziemy mieć trochę spokoju.

Zeszła za Lewisem na parter. Tym razem gospodarz minął wejście do salonu i ruszył w głąb korytarza, który - jak się okazało - prowadził do kuchni.

Podobnie jak pozostałe pomieszczenia, kuchnia była bardzo obszerna. Na ścianach wisiały półki i szafki z sosnowego drewna. Z jednej strony znajdowała się duża, staroświecka kuchenka, z drugiej - równie stylowy kredens. Pośrodku, na wyłożonej kamiennymi płytkami podłodze, stał stół i krzesła w rustykalnym stylu oraz wysoki, dziecięcy fotelik. Nad kuchenką suszyły się na sznurku dziecięce ubranka - skarpetki, bielizna, śpioszki, piżamki, bluzeczki i koszulki.

- Trudno nastarczyć z czystym ubraniami - wyjaśnił Lewis, podążając wzrokiem za spojrzeniem Jo. - Dzieci tak szybko wszystko brudzą.

- Nie ma pan suszarki?

- Mam. Pralkę także. Ale nie wydaje mi się, żeby rzeczy wyjęte z suszarki były odpowiednio przewietrzone. Bóg raczy wiedzieć, jak Becky daje sobie z tym radę.

A więc żona ma na imię Becky.

- Becky też pracuje na pół etatu. Sprzedaje karty okolicznościowe własnego projektu. Jej pracownia i gabinet znajdują się na drugim piętrze.

Oto jedna z tych superkobiet, które potrafią śpiewająco poradzić sobie ze wszystkim, kwaśno pomyślała Jo. Znow zaczęła się zastanawiać, dokąd pojechała owa Becky. Może załatwia interesy? Mimo to nie powinna zwałać tyłu obowiązków na barki męża. Chyba że w ten sposób chce coś udowodnić.

- Napijesz się czegoś? - spytał Lewis, jak gdyby nagle przyszło mu to do głowy. - Herbaty, kawy lub czegoś mocniejszego?

- Chętnie wypiję filiżankę herbaty - oświadczyła, sama sobie się dziwiąc. Przecież wcale nie zamierzała przedłużać tej wizyty. Przeciwnie, chciała tylko powiedzieć Lewisowi o swej decyzji i jak najszybciej wrócić do względnie bezpiecznego sanktuarium, jakim jest jej mieszkanie.

- Zaraz zaparzę, tylko zrobię tu trochę miejsca.

Na stole stał rząd brudnych butelek do karmienia i talerze z resztkami kolacji, która chyba składała się z kurczaka, sałatki i ziemniaków w mundurkach. Obok walały się papierowe torebki i słoiczki z odżywką dla niemowląt oraz sucharki.

- Muszę umyć i wysterylizować te butelki - stwierdził Lewis, gdy zauważył, że Jo na nie patrzy. - Ale... - rozejrzał się nieco bezradnie - najpierw czajnik.

Podszedł do zlewu, napełnił elektryczny imbryk wodą, postawił go i włączył. Następnie wyjął z szafki dwa kubki, a z półki zdjął porcelanowy czajniczek w kształcie kogucika. Wrzucił do niego dwie torebki ekspresowej herbaty i sięgnął do lodówki po karton z mlekiem.

- Cukier? - spytał.

- Dziękuję, nie słodzę.
- Były tu gdzieś herbatniki - mruknął.
- Och, proszę sobie nie robić kłopotu!
- Coś mi się wydaje, że Alistair wszystkie zjadł. - Wzruszył ramionami. -

Przepraszam.

- Naprawdę nie szkodzi...

Ale chyba jej nie usłyszał, bo właśnie podszedł do wiszącej na ścianie dosyć dużej tablicy z korka i utkwiał wzrok w jednym z wielu świstków papieru przybitych do niej kolorowymi pinezkami.

- Na śmierć zapomniałem - zamruczał na wpół do Jo, a na wpół do siebie.
- Jutro Alistair gra w piłkę nożną, a Francesca ma lekcję baletu. - Przejechał dłonią po krótko ostrzyżonych włosach i przez ramię spojrzał na Jo. - Byłbym wdzięczny, gdybyś wzięła na siebie właśnie takie rzeczy. A na razie chyba będę musiał wcześniej wychodzić z pracy lub bardziej zdać się na Sue.

- Na Sue?

- To niania. - Nappełnił czajniczek wrzątkiem i wyjaśnił: - Jest fantastyczna. Nie wiem, co bym bez niej zrobił. Ale wolę jej zanadto nie obciążać, bo ona po prostu... - Nie dokończył i wzruszył ramionami.

- Jak dajesz sobie radę rano? - spytała z zaciekawieniem. Rozpoczął dyżur o ósmej trzydzieści. Jakim cudem był w stanie zająć się dziećmi i zdążyć do pracy? - Ta niania przychodzi tutaj?

- Niestety nie. Dlatego codziennie sam daję dzieciom śniadanie.

- I co potem?

- Zawożę całą trójkę do niani, która uprzejmie zgodziła się odprowadzać Alistaira i Francescę. Jamie zostaje u Sue.

- O której musisz wstawać? - Jo wzięła od niego kubek z herbatą.

- Dzisiaj zerwałem się o piątej trzydzieści...

- Rzeczywiście przydałaby ci się pomoc. - Jo pociągnęła łyk herbaty i ponad stołem spojrzała Lewisowi w oczy.

- To prawda. Kiedy możesz zacząć?
- Słuchaj, Lewis... - Postawiła kubek i odetchnęła głęboko. - Jeszcze się nie zgodziłam...
- Ale się zgodzisz, prawda? - W jego spojrzeniu błysnęła obawa, jak gdyby dopiero teraz zrozumiał, że Jo może odmówić.
- Nie jestem pewna...
- To wszystko cię zniechęciło, prawda? - Gestem wskazał bałagan na stole, wiszącą na sznurku odzież i stojące na blacie brudne naczynia.
- Nie, nie chodzi o to...
- A więc o co? Może o wysokość wynagrodzenia?
- Nie, Lewis. Moje wątpliwości dotyczą czegoś innego. - Umilkła na chwilę. - Widzisz, zastanawiam się, czy to jest to, czego chcę. Sam przyznasz, że opieka nad trojgiem dzieci to duża odpowiedzialność i równie dużo obowiązków...
- Wiem, ale przecież nie będziesz zdana wyłącznie na siebie. Musisz tylko o trzeciej sama odebrać Francescę i Alistaira ze szkoły, a potem Jamiego od jego niani. Ja wracam do domu o piątej trzydzieści, najpóźniej o szóstej.
- Więc potrzebujesz tutaj kogoś tylko między trzecią a szóstą? - Uznała, że w takim wypadku mogliby dojść do porozumienia.
- Nie - odparł. - Ktoś musi tu być również przez cały wieczór i w nocy, ponieważ czasem wzywają mnie do szpitala o nietypowych porach.
- Och, oczywiście. Całkiem o tym zapomniałam.
- Poza tym - ciągnął, nie dając jej szansy na wyrażenie innych zastrzeżeń - chodzi przecież o pracę przez krótki okres.
- Na ile oceniasz jego długość?
- Tylko do powrotu ich matki.
- Gdzie ona jest?
- W Afryce.
- W Afryce! - Jo nie posiadała się ze zdumienia.

- Tak, a dokładnie w Nairobi. Problem polega na tym, że nie wiemy, jak długo potrwa ta sytuacja. Becky musiała rzucić wszystko i natychmiast tam jechać, gdy to się stało.

- Wybacz, ale nic nie rozumiem. Gdy co się stało?

- Nie mówiłem ci? - Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

- Nie, Lewis - odparła. - Nic mi nie mówiłeś.

- Och, przepraszam. Byłem pewien, że ci powiedziałem. W takim razie co wiesz?

- Tylko tyle, że twoja żona wyjechała i zostałeś sam z dziećmi.

- Moja żona? - Lewis patrzył na Jo oszołomiony.

- Tak.

- Rebecca nie jest moją żoną. Nie jestem żonaty.

- Czyżby? - spytała chłodno. Gdy nie dodała nic więcej, Lewis zmierzył ją przenikliwym spojrzeniem.

- Te dzieci też nie są moje. A ty pewnie myślałaś, że... - Trzepnął się dłonią w czoło. - Chyba muszę wyjaśnić ci to i owo.

- Chyba tak - jęknęła.

- Rebecca to moja siostra. Jej mąż, David, jest inżynierem. Pracował w Nairobi przy budowie wodociągów i zachorował na czerwonkę pełzakową. Jest bardzo chory i na razie nie można go przetransportować do Anglii. Dlatego Rebecca poleciała do Afryki.

- I zostawiła dzieci pod twoją opieką?

- Nie miała wyboru, a ja wolałem nie oddawać ich do całodobowego żłobka. Początkowo wydawało się, że to potrwa najwyżej kilka dni. Wziąłem trochę urlopu i jakoś dawałem sobie radę. Ale później stan Davida się pogorszył. Rozmawiałem z Rebeccą przez telefon i zorientowałem się, że jest wewnętrznie rozdarta. Wie, że dzieci jej potrzebują, ale chciała zostać z Davidem, gdyby coś mu się stało...

- Rozumiem. - Niewątpliwie należy spojrzeć na tę sytuację pod innym kątem. - I co jej powiedziałaś?

- Żeby została z Davidem, Wiedziałem, że tego chce, lecz jest pełna obaw, czy dam sobie radę z dziećmi. Zasugerowała, żebym skontaktowałem się z Sue. Opiekowała się dwojgiem starszych, zanim urodził się Jamie, więc już ją znaliśmy. Becky dała mi także wolną rękę co do wynajęcia dodatkowej pomocy, jeśli uznam to za stosowne. Dlatego zwróciłem się do ciebie - zakończył, wzruszając ramionami.

- To znaczy, że ten dom nie należy do ciebie?

- Boże drogi, nie. - Spojrzał na nią zdumiony. - Sądziłaś, że to moja rezydencja? Wierz mi, mieszkam o wiele skromniej. Wprowadziłem się tu, ponieważ to upraszczało sprawę. Poza tym chyba nie zmieścilibyśmy się w moim mieszkaniu.

- Czy to twoja siostra niedawno dzwoniła?

- Tak. - Z ponurą miną skinął głową.

- Jak czuje się jej mąż?

- Balansuje między życiem a śmiercią. Podobno za parę dni mają rozpocząć nową terapię za pomocą leku przysłanego z Anglii. Wszystkim bardzo troskliwie zajęła się firma, która zatrudnia Davida. Niestety, jest pewien problem. Nie wiadomo, czy osłabiony organizm Davida będzie tolerował to lekarstwo.

- Krótko mówiąc, zostałeś dosłownie z dzieckiem w ramionach?

- Tak to wygląda. - Znów przejechał dłonią po włosach. - Ale nie mogło być inaczej. Becky i ja zawsze troszczyliśmy się o siebie. Nasi rodzice zmarli dość dawno temu, więc oboje jesteśmy bardzo zżyci, a Alistair to mój chrzestny syn, więc... - Urwał i rozejrzał się po kuchni. - Przeraziłaś się i stąd twoje wątpliwości, prawda? Cóż, nie mogę cię za to winić. Trudno oczekiwać, że ktoś weźmie na siebie aż tyle...

- Kiedy miałabym zacząć? - spytała cicho.

- To przecież nie jest zwyczajne dodatkowe zajęcie - ciągnął, jak gdyby jej nie usłyszał. Nagle urwał i spojrzał na nią zaskoczony. - Co powiedziałaś?

- Spytałam, kiedy mam zacząć.

- Myślałem, że się przesłyszałem.

- A więc?

- Może wczoraj?

- Zgoda - odparła lekkim tonem, jak gdyby codziennie przyjmowała takie oferty.

A Lewis znowu ją zaskoczył. Chwycił ją w objęcia, podniósł i obrócił wokół siebie, po czym postawił ją na podłodze i cmoknął w usta.

- Jesteś wspaniała - oświadczył. - Nikt ci tego nie mówił?

- To twoja dziewczyna, wujku? - spytał ktoś cienkim głosem.

Odwróciła się gwałtownie i ujrzała stojącego w drzwiach chłopczyka o potarganych jasnych włosach. Patrzył na nich zaspany, pocierając piąstką jedno oko.

- Nie, Alistair. - Lewis usiłował nie okazać rozbawienia. - To panna Henry. Będzie mi pomagać opiekować się wami.

- Myślałem; że to twoja dziewczyna.

- Panna Henry nie jest moją dziewczyną.

- Jeśli nią nie jest - z powagą oświadczył Alistair - to nie powinieneś jej całować.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nazajutrz rano Pru i Jo przygotowywały się do pierwszej z wyznaczonych na ten dzień operacji.

- O co cię poprosił? - Pru spojrzała na Jo z mieszaniną niebotycznego zdumienia i przerażenia.

- Żebym mu pomogła zajmować się dziećmi jego siostry - cierpliwie powtórzyła Jo.

- I masz się do niego wprowadzić?

- Tak. - Jo skinęła głową. - Prawdę mówiąc, tak będzie łatwiej. On potrzebuje kogoś na stałe, ponieważ bywa wzywany do szpitala o różnych porach dnia i nocy.

- Czeka cię niezła harówka. - Pru skrzywiła się wymownie. - Opieka nad trójką dzieci? Cóż, ja bym się nie podjęła tego zadania.

- Może nie będzie aż tak źle. W dzień niemowlę przebywa u niani, najstarszy chłopiec jest w szkole, a dziewczynka chodzi do przedszkola.

- Ile miesięcy ma ten maluszek?

- Sześć.

- Na miłość boską, Jo. - Pru popatrzyła na nią osłupiała.

- Prawdopodobnie już ząbkuje. Nie zmrużysz oka całymi nocami.

- Chyba muszę zaryzykować. - Jo lekko wzruszyła ramionami. W głębi duszy musiała przyznać, że sama też zaczyna wątpić w słusność swego szlachetnego gestu.

- A skoro mowa o nocach - podjęła Pru po krótkiej chwili milczenia - czy w tym domu będziecie mieszkać tylko we dwoje?

- Niezupełnie - ze śmiechem odparła Jo. - Zapomniałaś o trojgu dzieciach.

- Och, wiesz, o co mi chodzi. Tutaj ludzie uwielbiają plotkować.

- To najmniejsze z moich zmartwień - oświadczyła Jo.

- Nie przejmujesz się tym, co mogą powiedzieć ludzie?

- Nie. To zawsze było mi obojętne.

- A nie niepokoi cię to, że będziesz mieszkać tak blisko Lewisa Gregsona?

- Niby dlaczego miałyby to mnie niepokoić? On jest tylko moim pracodawcą. A poza tym...

- Co poza tym?

- On nie jest w moim typie.

- Naprawdę? - Pru zmarszczyła brwi, jak gdyby nad czymś się zastanawiała. - Moim zdaniem jest dosyć miły. Może trochę za cichy i poważny, nie wiadomo jednak, czy pod maską tego spokoju nie kryje się wspaniały facet.

- To możliwe, ale nie zamierzam tego zgłębiać. Zresztą, jak wiesz, chwilowo mam dosyć wszystkich mężczyzn.

- Z Marcusem Jacobsem włącznie? - słodko spytała Pru, patrząc na Jo z ukosa.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Jo udała oburzenie.

- Doskonale pamiętam, z jaką miną odprowadzałaś go wczoraj wzrokiem. Nie wydaje mi się, żeby Marcus nie miał u ciebie żadnych szans.

- Och, daj spokój. - Jo poczuła, że się rumieni.

- O, właśnie. - Pru odwróciła się od umywalki. - O wilku mowa. Nasz zdobywca damskich serc chyba dziś asystuje doktorowi Hughesowi.

Jo zerknęła ukradkiem przez ramię i ujrzała dwóch mężczyzn - Hughesa i Jacobsa.

- Dzień dobry paniom. - Doktor Hughes pozdrowił pielęgniarki skinieniem głowy. Był wysokim, dystyngowanym mężczyzną po sześćdziesiątce.

Odpowiedziały na powitanie, a Marcus porozumiewawczo mrugnął do Jo. Uśmiechnęła się do niego i wraz z Pru przeszła do małej przebieralni. Obie miały na sobie chodaki, spodnie i tuniki, toteż teraz włożyły tylko zielone fartuchy i maski. Następnie udały się prosto do sali operacyjnej, gdzie poinformowano je, że pacjentce już podano narkozę.

Jo zapoznała się z danymi chorej i przejrzała formularz z wyrażoną przez nią zgodą na wykonanie zabiegu. Później upewniła się, że na wózku znajdują się wszystkie niezbędne narzędzia chirurgiczne. Gdy otworzyły się dwuskrzydłowe drzwi i do sali wwieziono pacjentkę, wzrok Jo powędrował w stronę widocznych ponad maską szarozielonych oczu anestezjologa. Teraz znów przesłaniały je szkła okularów, lecz spojrzenie Lewisa było jak zwykle spokojne i bystre.

- Witaj, Jo - powiedział cicho.

- Dzień dobry, doktorze Gregson - odrzekła uprzejmie, w pełni świadoma tego, że tutaj ma on ten sam status co chirurg. - Przygotować panią Hewitt?

Zerknął na monitor, sprawdził dopływ tlenu do dróg oddechowych pacjentki i skinął głową.

- Tak, proszę.

- Dziękuję - odparła Jo, odrobinę skrepowana faktem, że Lewis cały czas jej się przygląda.

Posmarowała lewą nogę pacjentki środkiem odkażającym, by można rozpocząć zabieg podwiązania i wycięcia fragmentu żyły odpiszczelowej. Druga asystująca pielęgniarka założyła na udzie opaskę uciskową, by odciąć dopływ krwi.

Wtedy do sali wszedł doktor Hughes, a za nim Marcus Jacobs, obaj w płóciennych zielonych strojach i maskach. Jo osłoniła pacjentkę zielonymi chustami chirurgicznymi.

- Dzień dobry wszystkim. - Doktor Hughes spojrzał na nich ponad maską.

- To pani Hewitt, prawda?

- Beryl Hewitt - odparła Jo.

- Doskonale. - Doktor Hughes obrócił się nieco w stronę swego praktykanta i powiedział: - Pacjentka skarżyła się na obrzęk i bolesność spowodowane tym dużym żylakiem. Ostatnio pojawiła się także egzema i

owrządzenie. Moim zdaniem optymalnym rozwiązaniem jest podwiązanie i wycięcie. - Spojrzał na anestezjologa. - Wszystko gotowe, Lewis?

- Oczywiście.

- Wobec tego proszę o skalpel, siostró.

Doktor Hughes wykonał nieduże nacięcie w pachwinie pacjentki. Podciągnięto specjalnym drutem żyłę odpiszczelową, po czym usunięto jej część. Następnie rozwiązano żyły, zeszyto skórę i założono opatrunek. Po zabandażowaniu pacjentka została odwieziona do sali pooperacyjnej.

Przedpołudnie okazało się pracowite i trochę dla Jo męczące z uwagi na różnorodność przypadków. Musiała bardzo uważać, ponieważ była nową pracownicą. Poza tym czuła, że jest obserwowana, zwłaszcza przez swoją przełożoną. Ale nie tylko przez nią. Dyskretnie przyglądali się jej również Lewis i Marcus. Napotykała ich wzrok, ilekroć na nich zerknęła.

Po zakończeniu ostatniego zabiegu z porannej listy doktor Hughes podziękował wszystkim i wyszedł do przebieralni. Lewis sprawdzał butle z tlenem przeznaczonym do popołudniowych operacji, a Marcus jakby bez celu spacerował po sali.

- Jeszcze coś, doktorze Jacobs? - spytała Jo, sprzątając narzędzia.

- Chciałem tylko powiedzieć, że mam dla ciebie potrzebny formularz.

- Formularz? - Przez chwilę myślała, że chodzi o pisemną zgodę pacjentki na wykonanie zabiegu.

- Ten, który należy wypełnić, żeby zostać członkiem klubu, nie pamiętasz?

- Ach tak, rzeczywiście.

- Nic więc nie stoi na przeszkodzie, żebyś przyszła na tę zabawę - dodał entuzjastycznie Marcus.

Jo zmarszczyła brwi.

- Kiedy to jest?

- W tę sobotę.

- W sobotę... - powtórzyła niepewnie.

- Coś nie tak?

- Możliwe. - Spojrzała na Lewisa, który niewątpliwie słyszał ich rozmowę. - Jak pan myśli, doktorze Gregson?

- W sobotę? Nie widzę problemu.

- Będę później w bufecie, doktorze Jacobs - powiedziała szybko na widok jego zaskoczonej miny. - Do zobaczenia.

- Oczywiście - odparł nadal zdziwiony i wyszedł do szatni.

Jo odwróciła się do Lewisa.

- Nie masz w sobotę dyżuru pod telefonem? - spytała.

- W ten weekend nie.

- I nie idziesz na tę zabawę?

- Takie rozrywki raczej nie są w moim guście.

- Rozumiem - mruknęła, nie wiedząc, co mogłaby dodać.

- Przywiozłaś swoje rzeczy? - spytał, a Jo odniosła wrażenie, że usłyszała w jego głosie nietypową nutę niepokoju. Czyżby obawiał się, że nowa niania się rozmyśliła?

- Tak, zostawiłam je w samochodzie.

- Świetnie. Spotkajmy się na parkingu za pół godziny, dobrze?

Załatwiłem sobie dzisiaj wolne popołudnie, więc pojedziemy do domu, a potem razem odbierzemy starsze dzieci ze szkoły i Jamiego od Sue.

- Może po prostu dasz mi klucze i sama się tym zajmę.

- Wiedziała, że wykorzystał już dużo urlopu.

- Tym razem to nie ma sensu. Muszę przedstawić cię wychowawczyniom Alistaira i Franceski oraz Sue.

- Nie pomyślałam o tym - przyznała. - Chyba wspominałeś, że dzieci mają dzisiaj wieczorem zajęcia sportowe i lekcję baletu? - spytała, gdy wychodzili z sali operacyjnej.

- O Boże, rzeczywiście. - Uderzył się dłonią w czoło. - Zdziwiająco szybko się orientujesz.

Pożegnali się na korytarzu i każde zniknęło w swojej szatni. Parę minut później Jo poszła do bufetu. Na jej widok Marcus zerwał się od stolika.

- Miło, że już jesteś. Co zjesz?

- Właściwie nie zamierzałam... - Spostrzegła, że Marcus przyniósł sobie bagietkę i kawę,

- Daj spokój, musisz coś przekąsić po takim pracowitym przedpołudniu.

- Zaraz po coś pójde... - Nagle poczuła głód.

- Nie, pozwól, że ja to zrobię. Nalegam.

- Wobec tego poproszę o herbatę i kanapkę z serem. Wrócił prawie natychmiast i postawił przed nią tacę.

- Już nie panuję nad ciekawością - oświadczył.

- Dlaczego? - spytała z uśmiechem, doskonale wiedząc, o co mu chodzi.

- Muszę zaraz się dowiedzieć, czemu poczułaś się w obowiązku pytać Gregsona o pozwolenie.

- Mógł chcieć, żebym w sobotę pracowała - odparła spokojnie, odwijając kanapkę z celofanu.

- Mogą cię wezwać w ciągu dnia?

- Nie.

- W takim razie... o co chodzi?

- O moją drugą pracę.

- Drugą pracę? - Zmarszczył brwi. - A cóż to takiego?

- Podczas nieobecności siostry Lewisa Gregsona będę opiekunką jej dzieci. Gregson przypadkiem usłyszał, że potrzebuję dodatkowego zajęcia i mi je zaproponował.

- Teraz rozumiem.

Wątpiła, czy tak jest w istocie, lecz nie chciała na razie podawać mu więcej szczegółów. Nie miała pojęcia, jak zareagowałby na wiadomość, że pracując dla Gregsona, będzie z nim mieszkać.

- Mówiłeś, że masz ten formularz? - spytała, gładko zmieniając temat.

- Słucham? - spytał zaskoczony. - A tak, rzeczywiście. - Z kieszeni białego fartucha wyjął złożoną kartkę. - Po prostu wypełnij i mi oddaj. Ta zabawa chyba powinna być udana. Wszyscy mają zamiar wystąpić w strojach z epoki.

- Nie mam nic z tamtych czasów.

- Nikt nie ma - ze śmiechem odparł Marcus - ale w mieście jest sporo sklepów ze starzyzną. Tam na pewno coś się znajdzie.

- Doskonały pomysł - przyznała Jo. Ciekawe, kiedy będę mieć czas na chodzenie po sklepach, pomyślała.

- A skoro mowa o tym balu... Może zechciałabyś iść ze mną?

- Z przyjemnością - odparła po chwili wahania.

- A więc mamy randkę - stwierdził z uśmiechem. Zerknął na zegarek i wstał. - Muszę lecieć.

- Dzięki za lunch.

- Nie ma za co. Do jutra.

Odprowadziła go wzrokiem. Właśnie po raz pierwszy od zerwania z Simonem umówiła się na randkę. Owszem, powiedziała Pru, że chwilowo ma dosyć mężczyzn. W głębi duszy wiedziała jednak, że pora rozpocząć nowy rozdział swego życia. Z pewnością nie wszyscy faceci są tacy jak Simon i prędzej czy później spotka kogoś interesującego. Może tym kimś okaże się Marcus Jacobs, a może nie, lecz warto się o tym przekonać i przy okazji nieco się rozerwać. Podbudowana tym wnioskiem skończyła kanapkę i poszła na parking.

Zjawiała się tam w tym samym czasie co Lewis. Otwierając drzwiczki stwierdziła, że idzie on do srebrzystego sportowego auta zaparkowanego w

następnym rzędzie. A więc to do Lewisa należy to auto, pomyślała. Natomiast dwa pojazdy stojące na podjeździe domu zapewne były własnością Rebeki i jej męża.

- Pojadę za tobą! - zawołała ponad dachami oddzielających ich samochodów.

- Dobrze! - odkrzyknął.

Nie przekraczał dozwolonej prędkości, ale jechał szybciej, niż miała w zwyczaju Jo, toteż ledwie za nim nadążała.

W popołudniowym słońcu Aleja Mowbery wyglądała zupełnie inaczej niż wieczorem, gdy nie było widać pięknych kwitnących wiśni i kolorowych klombów w małych ogródkach przed domami. Nawet Chilterns, który wczoraj wydawał się ponury i trochę odstręczający, teraz sprawiał sympatyczne wrażenie.

Jo trochę poweselała. Może mieszkanie tutaj nie będzie aż takie złe, pomyślała, wysiadając z auta.

Wczoraj po powrocie do domu znów ogarnęły ją wątpliwości, czy dobrze zrobiła, przyjmując ofertę Lewisa. Spędziła prawie bezsenność, bijąc się z myślami. Nawet nie była pewna, dlaczego się zgodziła, skoro wcale nie miała takiego zamiaru. Chyba zasugerowała się poświęceniem Lewisa, który wziął na siebie heroiczny obowiązek opieki nad trojgiem dzieci.

Tyle tylko, że Lewis był ich wujkiem, kimś z najbliższej rodziny. To oczywiste, że w kryzysowej sytuacji poczuł się zobowiązany do pomocy. Natomiast ona, jako osoba obca, nie musiała się porywać na szlachetne gesty.

Teraz już za późno na zmianę decyzji, stwierdziła ponuro. Dała słowo i zamierzała go dotrzymać. Otworzyła bagażnik i energicznie wyciągnęła z niego dwie wypchane torby podróżne.

- Ja to wezmę. - Chwycił torby i poszedł z nimi do drzwi.

Jo wzięła z samochodu leżącą na dnie bagażnika odzież i pantofle i ruszyła za Lewisem. Właśnie postawił jedną torbę na ziemi i wsunął klucz do zamka.

- Witaj w Chilterns - rzekł, przepuszczając ją przodem.

Za dnia hol także wyglądał inaczej - był widny i przestronny, a jednocześnie przytulny i praktyczny. Jo ujrzała kilka dziecięcych wózków i rowerków oraz duży, solidny wieszak, na którym wisiały przeciwdeszczowe płaszcze i kurtki z kapturami. Pod nim stał rząd lśniących kaloszy w różnych rozmiarach i kolorach.

- Zabiorę twoje rzeczy od razu na górę - oznajmił, idąc w stronę schodów.

- Wybacz, nie miałem czasu posprzątać...

- Nie szkodzi - odparła, podążając za nim nieco wolniej.

- Rano jak zwykle panował totalny chaos - zawołał przez ramię. - Alistair nie mógł znaleźć butów do gimnastyki. W końcu uznaliśmy, że pewnie zostały w szkole, ale wtedy Francesca odmówiła włożenia sukienki, którą dla niej przygotowałem. Zaczęliśmy szukać tej ulubionej i odkryliśmy ją na dnie kosza z brudami.

- I co zrobiłeś?

- Zdołałem przekonać Francescę, że powinna ubrać się w legginsy i bluzę, ale nie poszło mi łatwo. Francesca to uparciuch i czasem trudno jej wybić z głowy jakiś pomysł. Sama się o tym przekonasz - dodał posepnie.

Właśnie weszli na piętro. Drzwi do pokoju Franceski były otwarte na oścież i Jo zajrzała do wnętrza.

Wczoraj panował tu mrok, więc zobaczyła tylko niewyraźny zarys śpiącej dziewczynki. Teraz, w blasku słońca, ujrzała na łóżku pościel ozdobioną wzorem przedstawiającym Małą Syrenkę. Na półkach stało mnóstwo książek i gier. Kąt sypialni zajmował wielki domek dla lalek, a w przeznaczonym dla nich kojcu leżało kilkanaście pluszowych zwierzaków.

Był to śliczny pokój, lecz Jo przemknęła przez głowę myśl, że te dzieciaki mają wszystko, więc prawdopodobnie są zepsute i rozpuszczone. Utwierdziła się w tej opinii na widok niewątpliwie drogiego sprzętu sportowego i dziecięcego komputera w sypialni Alistaira.

- Ja korzystam z pokoju Becky i Davida. - Lewis ruchem głowy wskazał zamknięte drzwi na końcu korytarza. - A to pokój gościnny.

Okazało się, że ma ściany w kolorze lawendy, białe muślinowe firanki, sosnowe meble i lśniący parkiet. Szerokie łóżko było przykryte kapą ozdobioną białym haftem angielskim.

- Jak tu pięknie! - Jo zatrzymała się na progu, a Lewis postawił torby pod oknem.

- Rebecca ma doskonały gust. - Odwrócił się i uchylił okno. - Trzeba tu nieco przewietrzyć - dodał, gdy lekki powiew wiatru wydał delikatną firankę.

Jo także podeszła do okna. Pokój znajdował się na tyłach domu, toteż okno wychodziło na otoczony ceglany murem ogród. Był on właściwie jednym wielkim trawnikiem, na którym stała huśtawka, zjeżdżalnia i piaskownica.

- Uwielbiam ogrody z takim murem - stwierdziła. - Mają w sobie coś średniowiecznego.

- Lubisz historię?

- Nawet bardzo, zwłaszcza wszystko, co dotyczy średniowiecza. To był taki romantyczny okres. A ciebie interesują dawne czasy?

- Owszem. Na studiach jako przedmiot do wyboru wziąłem historię. Do pewnego stopnia równoważyła przedmioty ścisłe i sport.

- Sport?

- Grałem w uniwersyteckiej drużynie rugby. Z przyjemnością uprawiałem też wioślarstwo. - Odwrócił się od okna. - Zostawię cię teraz, żebyś złapała oddech.

- Dziękuję.

- Za około pół godziny musimy jechać po dzieci.

- Oczywiście. - Skinęła głową, poczekała, aż Lewis wyjdzie z pokoju, i znów popatrzyła na ogród.

Na jego przeciwnym krańcu, obok małej szopy, znajdował się niewielki sad. Właśnie zaczynały kwitnąć jabłonie, a rosnąca obok muru magnolia gubiła płatki kwiatów, zaścielając nimi wąską ścieżkę.

Jo odwróciła się z westchnieniem i przesunęła spojrzeniem po pokoju, w którym na razie miała mieszkać. Był rzeczywiście uroczy, podobnie jak widok z okna, co podniosło ją na duchu. Może w takich warunkach wszystko ułoży się lepiej, niż początkowo sądziła.

Rozpakowała odzież, powiesiła ją w garderobie i położyła kosmetyki na toalecie, a nocną koszulę wsunęła pod pachnącą lawendą poduszkę. Następnie szybko przebrała się w dżinsy i sweter, uczesała się i poprawiła makijaż.

Lewis czekał na nią w holu. On także się przebrał. Teraz miał na sobie dżinsy i pasiastą trykotową koszulę z białym kołnierzykiem. W jednej ręce trzymał parę butów do gry w piłkę nożną i starannie złożony sportowy strój, a w drugiej - maleńkie różowe baletki. Z poważną miną położył je na stoliku.

A Jo z jakiegoś niejasnego powodu poczuła, że dławi ją wzruszenie, i przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przedszkole Franceski i szkoła Alistaira mieściły się tuż obok siebie, dzięki temu nie było problemu z parkowaniem samochodu. Pojechali range-roverem Davida, ponieważ zdaniem Lewisa tylko w tym aucie mogli wszyscy się zmieścić i zabrać z sobą niemowlęcy fotelik oraz wózek.

- Gdy będziesz tylko ty i dzieci, wystarczy twoje auto - stwierdził Lewis, zamykając drzwiczki. - Oczywiście możesz jeździć tym, jeśli chcesz. David na pewno nie miałby nic przeciwko temu.

- Nie, dziękuję. Wolę używać swojego - zapewniła pośpiesznie.

Najpierw spotkali się w przedszkolu z wychowawczynią Franceski. Lewis przedstawił Jo jako przyjaciółkę, która chwilowo pomaga mu opiekować się dziećmi i zazwyczaj będzie odbierać Francescę.

Na widok wujka dziewczynka podbiegła do niego, lecz teraz trzymała się nieco na uboczu i niepewnie zerkała na Jo.

Jo postanowiła na razie zachować dystans. Narzucając się dziecku, osiągnęłaby skutek odwrotny od zamierzonego. Należy dać Francesce nieco czasu. Dlatego tylko się do niej uśmiechnęła i pozornie przestała zwracać na nią uwagę.

Alistair także przyglądał się Jo raczej podejrzliwie, lecz ją rozpoznał. Stał grzecznie obok siostry, a Lewis i Jo rozmawiali z jego wychowawczynią.

- Jak miewa się pan Cunningham? - spytała przyciszonym tonem nauczycielka, gdy Lewis poinformował ją o tym, jaka będzie rola Jo.

- Jego stan podobno nie uległ zmianie - odparł.

- Wyobrażam sobie, jak bardzo to państwa martwi.

- Owszem. - Lewis skinął głową. - Możemy jedynie odpowiednio zadbać o dzieci podczas nieobecności Becky.

- Tak, oczywiście... - Nauczycielka spojrzała na Jo, jak gdyby się zastanawiała, dlaczego Lewis porusza przy niej ten temat. Lewis chyba zrozumiał malujące się w jej spojrzeniu nieme pytanie.

- Jo jest pielęgniarką w szpitalu imienia Św. Teresy - oświadczył spokojnie.

- Naprawdę? - Kobieta rozpromieniła się, jak gdyby medyczne kwalifikacje Jo tłumaczyły każdą ewentualność.

Na parkingu Lewis i Jo pomogli dzieciom wsiąść na tylne siedzenie range-rovera i dopilnowali, aby zapięły pasy. Następnie usiedli z przodu.

- Teraz odbierzemy małego Jamiego, pojedziemy do domu na podwieczorek, a później zawiozę Alistaira na boisko...

- A mnie na balet! - pisnęła Francesca.

- A ciebie na balet - zgodził się Lewis. - Natomiast Jo zostanie z Jamiem.

- Dlaczego ona ma imię chłopca? - z powagą spytała Francesca.

- O kim mówisz? - Lewis skupił całą uwagę na drodze i najwyraźniej słuchał jednym uchem.

- O niej, o Jo.

- Może ją spytaj. - Lewis z ukosa zerknął na Jo.

- Dlaczego nazywasz się jak chłopiec? - zapytała dziewczynka po długim milczeniu.

Jo odwróciła się i popatrzyła na dwie małe postacie, które przyglądały się jej z wielkim zainteresowaniem.

- Prawdę mówiąc, to nie jest imię chłopięce - powiedziała z uśmiechem.

- Ale ja znam chłopaka, który ma na mię Joe - oznajmił Alistair.

- To pewnie zdrobnienie od imienia Joseph - odparła Jo.

- Ty też masz tak na imię? - spytała Francesca.

- Nie, ja mam na imię Joanne, ale wszyscy zwracają się do mnie Jo.

- Dlaczego? - Francesca nie dawała za wygraną.

- Nie wiem - przyznała Jo. - Po prostu chyba łatwiej to wymówić.

- Mamusia czasem mówi do mnie Al - oświadczył Alistair. - A Francescę nazywa Fran, ale tatuś nigdy tego nie robi. On zawsze mówi Alistair.

- A do mnie mówi Francesca.

- Ale wujka Lewisa wszyscy nazywamy Lew. Nawet tatuś - dodał Alistair.

- Naprawdę? - Jo spojrzała na Lewisa i z rozbawieniem stwierdziła, że chyba jest trochę zakłopotany. - Może wujek Lewis chciałby, żebym ja także mówiła do niego Lew?

Nie odpowiedział, tylko podjechał do krawężnika i zatrzymał samochód przed zadbanym, nowoczesnym bliźniakiem z drzwiami w jasnoniebieskim kolorze.

- Tutaj mieszka Sue - oznajmiła Francesca. - Niania Jamiego - dodała na użytek Jo.

Jo uśmiechnęła się, ponieważ fakt, że Francesca odezwała się do niej, świadczył o tym, że lody zostały przełamane. Teraz już z sobą rozmawiały.

Sue Meadows była pogodną, sympatyczną osobą po trzydziestce i matką dwojga dzieci. Lewis jeszcze raz wyjaśnił, kim jest Jo, i uprzedził, że to ona zazwyczaj będzie odbierać Jamiego.

- Mały zachowywał się dziś jak aniołek - powiedziała Sue. - Przespał prawie całe popołudnie.

- Wspaniale - mruknął Lewis, gdy parę minut później sadzał niemowlę w samochodowym foteliku. - Na pewno oszczędza płuca na wieczorny koncert.

Już w drodze do domu Jamie się zbudził i zaczął marudzić.

- Pora karmienia - z imponującą przenikliwością stwierdziła Francesca. I nagle zmieniła temat, a im zaparło dech w piersiach, gdy powiedziała: - Alistair mówi, że jesteś dziewczyną wujka Lew.

- To nieprawda - zaprotestował Lewis, nie patrząc na Jo.

- Alistair powiedział, że ją całowałeś - bezlitośnie kontynuowała siostrzenica. - To prawda?

- Tak, ale...

- Dlaczego ją pocałowałeś? Całowanie to ohyda! - Alistair wstrząsnął się z obrzydzenia. - Jak można kogoś całować! Szczególnie babę!

- Pocałowałem Jo, ponieważ byłem szczęśliwy - cierpliwie wyjaśnił Lewis.

- Dlaczego byłeś szczęśliwy? - spytała Francesca.

- Ponieważ Jo wtedy właśnie zgodziła się pomóc mi opiekować się wami!

To oświadczenie okazało się chwilowo wystarczające, toteż resztę drogi odbyli prawie w milczeniu. W domu dzieci zjadły podwieczorek składający się z soku pomarańczowego i herbatników, zaś dorośli zadowolili się herbatą. Później Lewis zabrał Alistaira i Francescę na ich zajęcia, a Jo została z Jamiem, który od kwadransa z zadowoleniem żuł sucharek.

- Poczekam na nich - oznajmił Lewis przed odjazdem. - Alistair gra tylko przez godzinę, a lekcja Franceski trwa czterdzieści minut, więc nie ma sensu wracać. Dasz sobie radę, Jo?

- Och, na pewno. Jamie i ja musimy lepiej się poznać.

Nigdy nie zajmowała się takim maleństwem, toteż z pewnym niepokojem popatrzyła na siedzące w wygodnym foteliku niemowlę. Odpowiedziało jej poważnym spojrzeniem wielkich, niebieskich oczu, po czym uśmiechnęło się i zagulgotało radośnie.

- Wiesz co, Jamie? - Wzięła go na ręce. - Sądzę, że między nami będzie się dobrze układać.

W ciągu następnych dwóch godzin parę razy zastanawiała się, czy jej stwierdzenie nie było przejawem nadmiernego optymizmu. Jakimś cudem zdołała jednak wykapać niezwykle ruchliwe dziecko, zapudrować i posmarować oliwką odpowiednie fragmenty jego ciała. Następnie założyła Jamiemu pieluszkę, choć pulchne nóżki wierzgały jak szalone, i ubrała go w czystą koszulkę oraz śpioszki.

Gdy wrócił Lewis z dziećmi, Jamie właśnie kończył ssać z butelki swój wieczorny posiłek. Lewis był pełen uznania.

- Mnie to wszystko zajmuje dużo więcej czasu - przyznał z podziwem w głosie. - A podczas kąpieli większość wody ląduje na podłodze.

- Jak ci się grało? - Jo odwróciła się do Alistaira. Był potargany i ubłocony, lecz niewątpliwie bardzo zadowolony.

- Fantastycznie! - westchnął z rozmarzeniem. - Pan Carter powiedział, że tylko tak dalej, a wejść do drużyny.

- Gratuluję. Twój tata na pewno się ucieszy.

- Tata nigdy nie widział, jak gram. - Zabrzmiało to trochę żałośnie. - Zawsze gdzieś wyjeżdża.

- A twoja lekcja baletu? - Jo przełożyła Jamiego w zagłębienie drugiego ramienia i spojrzała na Francescę. Dziewczynka podskakiwała na środku pokoju, prawdopodobnie demonstrując dzisiejsze ćwiczenia.

- Tańczymy w bajce o kwiatuśkach - odparła, patrząc na Jo przez firankę opadających na oczy ciemnych loków.

- Ja jestem dzwoneczkiem.

- Bardzo ładnym dzwoneczkiem - stwierdziła Jo. Zerknęła na Lewisa i ich oczy na moment się spotkały.

Oboje poczuli, że rozpiera ich duma.

- Zajmę się ich kąpielą - powiedział. - Jestem pewien, że Becky kąpie dzieciaki oddzielnie, ale ja wrzucam je do wanny razem. Chyba nie mają nic przeciwko temu.

- Oblewamy się wodą - oświadczyła Francesca. - Wczoraj ja zwyciężyłam.

- Nieprawda - prychnął jej brat.

- Prawda!

- Wcale nie!

- Przestańcie się kłócić i biegnijcie w te pędy na górę - polecił Lewis.

Jo położyła niemowlę w łóżeczku i włączyła obrotową zabawkę, która zaczęła się kręcić przy wtórze cichej muzyki. Jamie z zadowoloną miną obserwował różowego słonika, a z łazienki dobiegały okrzyki i piski, ponieważ Lewis usiłował umyć dziecięce czupryny i uszy.

- Jo, patrz! - zawołała Francesca, widząc ją w drzwiach. Chwyciła plastikową kaczuszkę i wycisnęła z niej wodę prosto na głowę brata.

Lewis klęczał na dywaniku. Zerknął przez ramię na Jo, ona zaś zauważyła, że jego okulary są zaparowane, a jedno szkło jest ochlapane niebieskim szamponem.

- Lubimy, gdy kąpie nas wujek Lew - oznajmił Alistair.

- Robi nam więcej piany niż mama...

Musiała to być szczerą prawdą, ponieważ piana nie tylko wypełniała wannę i pokrywała dzieci oraz wujka, lecz znajdowała się również na podłodze i w postaci baniek unosiła się w powietrzu.

- Nigdy nie potrafię odmierzyć odpowiedniej ilości płynu - bezradnie przyznał Lewis.

Przy wtórze chichotów i głośnych wybuchów śmiechu dwoje dorosłych skończyło kąpać dwójkę dzieci. Jo pomogła też je wytrzeć i właśnie zapinała guziki różowego szlafrocza Franceski, gdy Alistair zapytał:

- Co będzie na kolację?

- Chyba nie chcecie jeszcze o tej porze jedzenia? - z udawanym przerażeniem spytał Lewis.

- Chcemy! - chórem zawołały dzieci. - A potem musicie nam poczytać.

Jakimś cudem zdołali spełnić te żądania. Dzieci dostały kolację, Lewis opowiedział Alistairowi bajkę, a Jo poczytała Francesce i w domu w końcu zapanował spokój. Jo i Lewis z ulgą osunęli się na krzesła i spojrzeli na siebie ponad blatem kuchennego stołu.

- Warto teraz pomyśleć o naszej kolacji. - W głosie Jo zabrzmiało znużenie.

- Całkiem o nas zapomniałem - przyznał Lewis, z roztargnieniem rozglądając się po kuchni. - Zaraz, co my tu mamy... Chyba moglibyśmy wyjąć coś z zamrażarki... albo zamówić pizzę.

- Głosuję za pizzą, a jutro lepiej się zorganizujemy. Może przed wyjściem do pracy wrzucimy coś do elektrycznego garnka, żeby powolutku dusiło się przez cały dzień. Ale dzisiaj lepiej zadzwoń po pizzę.

- Jo-o! - zawołał ktoś z piętra.

- O, nie! - jęknął Lewis. - Sądziłem, że ta młoda dama już śpi.

- Prawdopodobnie domaga się mojej obecności. - Jo podeszła do drzwi.

- Najwyraźniej jesteś atrakcją miesiąca.

- Czego sobie życzysz, Francesco? - spytała Jo z holu, spoglądając w górę schodów.

- Nie pocałowałaś mnie na dobranoc - odparł dziecięcy głosik.

- Pocałowałam, Francesco.

- Chcę jeszcze jednego buziaka.

- Dobrze, dam ci jeszcze jednego buziaka, jeśli obiecasz, że zaraz pójdziesz spać - oznajmiła Jo, lecz nie usłyszała odpowiedzi. - Obiecujesz, Francesco?

- Tak.

- Już do ciebie idę.

- Tęsknię za mamusią - poskarżyła się Francesca, gdy Jo usiadła obok niej na brzegu łóżka.

- Wiem, kochanie. - Jo cmoknęła ją w czoło. - Ale miejmy nadzieję, że twoja mama wkrótce wróci do domu. I twój tatuś też - dodała, by uprzędzić ewentualne wątpliwości Franceski.

- A teraz bądź grzeczną dziewczynką i spróbuj zasnąć.

- Dobrze. - Francesca wsunęła się pod kołdrę.

- Dobranoc.

- Dobranoc, Jo. - W pokoju przez chwilę panowała cisza.

- Jo? - Głos Franceski zabrzmiał cicho.

- Tak, Francesco?

- Mam pomysł.

- Jaki?

- Moglibyśmy udawać... że ty jesteś naszą mamusią, a wujek Lew naszym tatusiem?

- Chyba tak, ale tylko do powrotu waszych rodziców.

Francesca uśmiechnęła się sennie i zamknęła oczy. Jo podejrzewała, że dziewczynka nawet nie usłyszała całej odpowiedzi.

- Wszystko w porządku? - spytał Lewis, gdy Jo wróciła do kuchni.

Właśnie otwierał butelkę czerwonego wina.

- Tak. Francesca potrzebowała otuchy. Prawdopodobnie cała trójka czuje się trochę zagubiona, ale Francesca chyba najbardziej. Jamie jest jeszcze za mały, żeby cokolwiek rozumieć. Wystarczy mu dużo czułości i zaspokajanie jego podstawowych potrzeb. Natomiast Alistair ma już sześć lat, więc łatwiej mu pojąć, co się dzieje.

- Moim zdaniem przypadłaś im do gustu. Lubisz czerwone wino?

- Uwielbiam.

- Świetnie. Pomyślałem, że będzie pasować do pizzy, a poza tym uważam, że na nie zasłużyliśmy. - Podał Jo kieliszek i musnął ją palcami. Oczywiście tylko przypadkiem, lecz mimo to oboje spojrzeli na siebie. - Jak już mówiłem - trochę zbyt pośpiesznie dodał Lewis, jak gdyby to przelotne dotknięcie wprawilo go w zakłopotanie - maluchy rzeczywiście już się do ciebie przywiązały.

- Początkowo były nieufne. Zwłaszcza Francesca.

- To zupełnie zrozumiałe, ale tak wspaniale potrafiłaś sobie z nimi poradzić. Dałaś im czas, żeby mogły przełamać nieufność.

- Wiesz, że już miewałam do czynienia z dziećmi.

- Tak, oczywiście... - Wyglądał na nieco onieśmiałego. - Po prostu chciałem ci podziękować, Jo. Za to, że mi pomagasz.

- To nic takiego. - Wzruszyła ramionami.

- Nie miałaś na to ochoty...

- Cóż...

- Nie musisz udawać - powiedział cicho. Stał oparty o blat i trzymając uniesiony kieliszek, z uwagą wpatrywał się w jego zawartość. - Wiem, że wczoraj wieczorem chciałaś się wycofać. I szczerze mówiąc, wcale bym się nie zdziwił, gdybyś przeraziła się perspektywą tych obowiązków. Dlatego tym bardziej jestem ci wdzięczny za to, że jednak się zgodziłaś. Nie mam pojęcia, co bym bez ciebie zrobił.

- Znalazłbyś kogoś innego - mruknęła.

- Może. - Pociągnął łyk wina. - Ale wątpię, czy...

Ku uldze Jo rozmowę przerwał dzwonek do drzwi, oznaczający dostawę kolacji. Reszta wieczoru minęła bardzo zwyczajnie. Jo była śmiertelnie zmęczona, toteż padła w swoim pokoju na łóżko z pościelą o zapachu lawendy i błyskawicznie zasnęła.

Rano obudziło ją słońce i cienkie głosiki dzieci. Przez parę sekund leżała bez ruchu, zastanawiając się, gdzie, u licha, się znajduje. Zaraz jednak przypomniała sobie wszystko. Przeciągnęła się z cichym westchnieniem i opuściła nogi na podłogę. Stojący na nocnym stoliku budzik wskazywał szóstą trzydzieści.

Sypialnia na szczęście miała małą łazienkę z prysznicem, więc nie musiała przemykać się po korytarzu, by się umyć. Pół godziny później - wykąpana i ubrana, lecz z wilgotnymi włosami - wyszła ze swojego pokoju i zajrzała do Jamiego. Leżał na wznak, z zaciśniętymi piąstkami po obu stronach głowy, i smacznie spał, leciutko zaróżowiony. Jo wycofała się na palcach, przytknęła drzwi i zbiegła na dół.

Alistair i Francesca siedzieli przy kuchennym stole. Każde z nich miało przed sobą miseczkę z płatkami. Na widok Jo oboje się uśmiechnęli.

- Dostałam dzisiaj kolorowe kółeczka z mlekiem - pochwaliła się Francesca.

- Masz mokre włosy - stwierdził Alistair. - Możesz pożyczyć suszarkę mamy, jeśli chcesz. Prawda, wujku Lew?

- Oczywiście. - Lewis odwrócił się od zlewu. - Dzień dobry, Jo.

- Dzień dobry... - odparła, zaskoczona malującym się na jego twarzy zmęczeniem. - Dzięki za propozycję, ale mam swoją suszarkę. Widziałam, że Jamie jeszcze śpi.

- Powinien - ponuro mruknął Lewis.

- Dlaczego? - Szybko przeniosła wzrok na dzieci, które zachichotały, i znów spojrzała na Lewisa. - Czyżby budził się w nocy?

- Coś w tym stylu. - Lewis powolnym ruchem przejechał dłonią po włosach. - Nawet można powiedzieć, że dłużej marudził, niż spał.

- Och, Lewis! - jęknęła. - Nic nie słyszałam.

- Nie szkodzi. Ja też nie od razu go usłyszałem. Na szczęście Alistair mnie obudził i powiedział, że Jamie płacze. Prawda, chłopie?

Alistair wsadził do ust łyżkę z resztką płatków i skinął głową.

- Ale ja powinnam była się zbudzić. Przecież spałam w sąsiednim pokoju.

- Naprawdę się tym nie przejmuj i ciesz się, że Jamie nie postawił cię na nogi. Poza tym nie mogę od ciebie żądać, żebyś niańczyła go również w nocy.

- Dlaczego nie? - Usiadła przy stole i sięgnęła po płatki.

- Tego nie było w naszej umowie. Musisz się wysypiać, ponieważ rano idziesz do pracy.

- Ty także.

- Wiedziałem o tym, kiedy podjąłem się opieki, ale... - Urwał i zaczął nadśłuchiwać. - Ten mały awanturnik właśnie się zbudził.

- Zaraz się nim zajmę. - Jo zerwała się z krzesła i niechętnie przewróciła pudełko z płatkami, które wysypały się na stół. Dzieciaki zapiszczały.

- Nie, ja do niego pójde - zaprotestował Lewis. - Ty zjedz śniadanie.

Na szczęście zdołali nad wszystkim zapanować. Dzieci skończyły jeść i ubrały się, Jamie został nakarmiony i przewinięty, pralka i zmywarka - załadowane, a wyjęte z zamrażarki mięso - włożone do elektrycznego garnka, gdzie miało powoli się gotować.

W końcu Jo z dziećmi wsiadła do swojego samochodu, a Lewis pojechał za nimi. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami zostawili całą trójkę u Sue.

- Jo, odbierzesz mnie dzisiaj ze szkoły? - spytał Alistair, wysiadając.

- Oczywiście - obiecała. - Ciebie też, Francesco - dodała na wszelki wypadek, żeby dziewczynka się nie martwiła.

Ale Francesca była w doskonałym humorze i od razu pędem pognęła do saloniku, gdzie w kącie stał wspaniały domek dla lalek.

- Gotowa do pracy? - spytał Lewis, gdy nieco później oboje wysiedli z aut na parking przed szpitalem.

- Czuję się tak, jakbym już przepracowała cały dzień - z westchnieniem odparła Jo.

- Jak poszło? - spytała zaciekawiona Pru.

Obie właśnie przygotowywały zestawy rzeczy niezbędnych do przeprowadzenia operacji wyznaczonych na przedpołudnie.

- Dam ci znać, kiedy uda mi się posiedzieć przez pięć minut. - Jo uśmiechnęła się żałośnie.

- Aż tak źle?

- Nie tyle źle, co inaczej. Można powiedzieć, że stymulująco w zabawny sposób.

- Czy to „stymulująco” oznacza, że jesteś wykończona? - Pru kpiąco uniosła brwi.

- Nie... Może lepiej spytaj mnie o to za tydzień. Kto wie, czy nie będę wtedy podierać się nosem. - Jo parsknęła śmiechem, lecz szybko spoważniała.

- Ale nabieram szacunku dla pracujących matek, Pru. I ojców też. Nie mam pojęcia, jak na dalszą metę dają sobie radę. Dobrze, że moje zajęcie ma tymczasowy charakter.

- Ale nie wiesz, jak długo potrwa ta sytuacja? - Jo sięgnęła do szafki po paczkę wacików.

- Właściwie nie. Ojciec tych dzieci jest poważnie chory i na razie nie wolno go przewozić. To zrozumiałe, że żona chce być przy nim.

- Jest rodzoną siostrą Lewisa Gregsona? Jo w odpowiedzi skinęła głową.

- Muszą być mu bardzo bliscy, skoro podjął się takiego zadania.

- Chyba rzeczywiście są życzliwi - przyznała Jo. - Poza tym nie było nikogo innego, kto mógłby pomóc.

- Jaki jest ich dom?

- Przepiękny. To jedna z tych starych, ceglanych rezydencji przy alei Mowbery. Na tyłach znajduje się otoczony murem ogród i sad.

- Widocznie nie należą do biedaków - stwierdziła Pru. - A dzieciaki? Przemądrzałe i rozpuszczone?

- Przeciwnie. Są naprawdę słodkie.

- Może o to także powinnam spytać cię za tydzień...

Jo skwitowała tę uwagę uśmiechem. Miała przeczucie, że nie zmieni opinii o swoich podopiecznych.

- A co z panem anestezjologiem? - lekkim tonem spytała jeszcze Pru.

- Jak to co?

- Jaki jest w domu? Taki sam ponury mruk jak tutaj?

- Nie jest ponury - zaprotestowała Jo. - To po prostu spokojny człowiek.

- Już go bronimy, co? - W głosie Pru zabrzmiała nutka wesołości.

- Nie, skądże. - Jo poczuła, że jej policzki stają się cieplejsze. - Po prostu w tym domu poznałam inną stronę osobowości doktora Gregsona.

- Mówisz, że przy niańczeniu dzieci ujawniają się inne cechy, niż przy usypianiu dorosłych?

- Coś w tym stylu - wymijająco odparła Jo. Nie miała ochoty plotkować o Lewisie; czuła, że byłoby to przejawem niełojalności. - Kogo operujemy dziś rano? - spytała, zdecydowana zmienić temat.

- Ale miałam rację? - Pru z niezwykłym uporem drażyla poprzedni.

- Nie rozumiem.

- Chodzi mi o to, czy pod tym zielonym uniformem rzeczywiście kryje się wspaniały facet?

- Skąd mam wiedzieć? - zachnęła się Jo.

- Przecież w domu go nie nosi. - Pru zaśmiała się perliście.

- Oczywiście, że nie - prychnęła Jo.

- No to jak chodzi ubrany?

- Normalnie! - Jo powoli traciła cierpliwość. - W dżinsach, koszulkach, bluzach - tak jak wszyscy.

- Hmm... A jak w nich wygląda?

- Czy ja wiem...

- Pociągająco? - Pru uniosła brwi.

- Cóż... chyba tak - przyznała Jo. Nagle cała ta rozmowa wydała się jej zabawna, więc parsknęła śmiechem, a Pru głośno jej zawtórowała.

- Mają panie jakiś problem? - spytał ktoś za nimi, gdy wesoło chichotały.

Odwróciły się gwałtownie i ujrzały stojącego w drzwiach

Lewisa. Miał na sobie jak zwykle szpitalny zielony strój i patrzył na nie poważnie.

- O Boże! - jęknęła Pru, rozpaczliwie usiłując się opanować. - Ależ nie, doktorze Gregson. Właśnie miałyśmy zamiar iść wyszorować ręce, prawda, Jo?

- Tak. - Jo skinęła głową. Ledwie powstrzymała śmiech, ale bardziej martwiło ją coś innego. Zastanawiała się, czy Lewis wie, że to on był powodem

ich rozbawienia. Miała nadzieję, że się nie zorientował. Chyba by nie przeżyła, gdyby usłyszał chociaż fragment jej pogawędki z Pru.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Pierwszy pacjent był młodym mężczyzną z zerwaną łąkotką i doktor Hughes właśnie rozpoczął zabieg wżernikowania stawu.

- Typowe w tym przypadku objawy to ból, usztywnienie stawu i opuchlizna - wyjaśnił swojemu zespołowi, jednocześnie wykonując dwa niewielkie nacięcia po obu stronach kolana.

- Pewnie piłkarz? - stwierdził Marcus i pochylił się, aby lepiej widzieć.

Doktor Hughes skinął głową. Następnie wziął teleskopowy wżernik, do którego Jo przymocowała rurkę doprowadzającą wodę i odsysającą, i zaczął oglądać pole operacyjne.

- Przełuczmy to miejsce, siostrze, żebym mógł usunąć odłamki chrząstki. Z narkozą wszystko w porządku, Lewis?

- Idealnie, Edwardzie.

- Może byś trochę pozełgował w ten weekend? - zapytał doktor Hughes, nawet nie podnosząc głowy znad operowanego kolana. Nożyczkami o długich uchwytach właśnie usuwał maleńkie, ostre kawałeczki chrząstki. - Mój brat przeprowadza jacht swojej firmy do kanału Solent. Może przyłączyłbyś się do załogi?

- Z wielką chęcią, ale w ten weekend nie mogę.

- Jesteś na dyżurze, staruszkule? - spytał Hughes ze współczuciem w głosie.

- Nie.

- Nie? - Chirurg spojrzał na niego zdziwiony, że coś innego niż praca może uniemożliwić człowiekowi udział w rejsie. - Co cię powstrzymuje?

- Dość skomplikowane sprawy domowe.

- I kto to mówi? Taki młody, niezależny kawaler jak ty? - zaprotestował chirurg, a reszta zespołu nadstawiła uszu.

- Ta niezależność została ostatnio ograniczona. Moja siostra musiała wyjechać i opiekuję się jej dziećmi.

Jo zrobiło się go żal. Wyglądał na takiego zmęczonego. Jak udaje mu się skupić uwagę po prawie bezsennej nocy?

- Dobry Boże! - jęknął doktor Hughes z przerażeniem.

- Opieka nad własnymi dziećmi może wykończyć, a cóż dopiero nad cudzymi.

- To przejściowa sytuacja. - Lewis spokojnie poprawił maskę tlenową na twarzy pacjenta.

Jo zerknęła na Marcusa i zauważyła, że zmarszczył brwi. Niewątpliwie zastanawiał się, jaki jest udział Lewisa w niańczeniu dzieci, którymi podobno miała opiekować się ona.

- Teraz kolano wygląda znacznie lepiej - oświadczył chirurg, prostując się. - Musimy jeszcze wpompować tu trochę środka znieczulającego, założyć szwy i opatrunek.

Zgodnie z poranną listą wykonano jeszcze jedną artroskopię, operację przepukliny i dwie korekty wrastających paznokci. Po zakończeniu ostatniego zabiegu Jo usłyszała, jak doktor Hughes pyta Lewisa, czy pójdzie z nim na lunch.

- Z przyjemnością - odparł Lewis. - Zamienię tylko dwa słowa z siostrą dyżurną.

Jo właśnie sprzątała narzędzia.

- Słucham, doktorze? - spytała, gdy oparł dłonie o stół operacyjny i pochylił się w jej stronę.

- Właśnie sobie przypomniałem - zaczął z poważną miną - że skończyły się pampersy, a ja pewnie nie zdążę pójść do sklepu.

- To żaden problem - zapewniła go. - Jadąc po dzieci, wpadnę po drodze do apteki i kupię parę paczek. Mamy jakieś inne braki?

- Chyba nie, chociaż... Wypiliśmy sok pomarańczowy.

- Załatwione.

- Dzięki, Jo. - Uśmiechnął się i na moment odpreżył. Jo jeszcze nie widziała go tak zadowolonego.

- Sądziłem - rzekł Marcus, gdy Lewis opuścił salę - że teraz ty zajmujesz się tymi dziećmiakami.

- To prawda.

- Dlaczego więc on twierdzi, że je niańczy?

- Robimy to na zmianę - wyjaśniła pośpiesznie.

Nadal nie chciała mówić, że mieszka z Lewisem pod jednym dachem. Ludzie mogli to błędnie zinterpretować. Wołała nie dawać powodów do plotek i spekulacji, zwłaszcza Marcusowi.

- Rozumiem - mruknął i zmienił temat. - Wypełniłaś formularz?

- Och. Marcus, nie. Przepraszam, ale wczoraj nie zdążyłam.

Nie mogła mu powiedzieć, że wyleciało jej to z głowy, ponieważ zajmowała się innymi sprawami.

- Lepiej się pośpiesz, jeśli chcesz iść na ten bal - powiedział nieco urażonym tonem. - O ile oczywiście nadal masz taki zamiar.

- Ależ tak, naturalnie. Tyle tylko, że... Wiesz co? Zaraz go wypełnię, zanim skończę dyżur.

- Pamiętaj, że twoje podanie musi zostać rozpatrzone - dodał kwaśno.

- Jeszcze raz przepraszam za opóźnienie. Obiecuję, że wkrótce ci je przyniosę - zapewniła. - Naprawdę z przyjemnością wybiorę się na tę zabawę - dodała, aby go trochę udobruchać. - Muszę jeszcze pogadać z Pru o strojach. Nie mam pojęcia, w co się ubrać.

Jo pośpiesznie się przebrała i wyjęła z torebki złożony kwestionariusz. Wygładziła powstałe zagniecenia, wypełniła go i stwierdziła, że musi jeszcze

zdobyć podpis osoby wprowadzającej. Pobiegnęła więc szukać Pru. Znalazła ją w pokoju pielęgniarek, gdzie zastała także Juliana Browne'a.

- Na dzisiaj koniec? - spytał.

- Tak - odparła i spojrzała na koleżankę. - Przynajmniej tutaj - dodała z uśmiechem. - Pru, mogłabyś podpisać moje podanie o przyjęcie do klubu?

- Oczywiście. - Pru wzięła pióro, które podał jej Julian, i złożyła podpis.

- Idziesz na tę zabawę? - spytał Julian.

- Tak, jeśli zostanę przyjęta do klubu.

- Nie ma obawy. Te papierki to formalność.

- Wybierzemy się razem, prawda, Jo? - spytała Pru, oddając jej formularz.

- Cóż, właściwie... już ktoś mnie zaprosił.

- Kto? Lewis Gregson?

- Nie, nie Lewis.

- Więc kto? - Oczy Pru lekko się zwięzły.

- Marcus.

Pru przez moment patrzyła na nią w milczeniu, a gdy się odezwała, w jej głosie zabrzmiała nutka rozdrażnienia.

- Jak ty to robisz, Jo? Dopiero się tu zjawiaś, a już wszyscy jedzą ci z ręki.

- Przesadzasz - zaprotestowała Jo. Rozbawione spojrzenie Juliana przyprawiło ją o rumieniec.

- Ależ skąd! Mam ci podać przykłady? Proszę bardzo:

Lewis Gregson, który, o ile wiem, prawie nie rozmawia z żadną kobietą na tym oddziale, no i teraz Marcus...

- Który, o ile wiesz, mógłby zagadać każdego na śmierć - przerwała koleżance Jo. - A co do Lewisa, to nie możesz brać go pod uwagę. Przecież mówiłam ci, w czym rzecz.

Ku wielkiej uldze Jo, Pru roześmiała się, czym rozładowała lekkie napięcie, jakie przed chwilą wytworzyło się między nimi.

- Mam nadzieję - powiedział Julian - że włożysz coś w duchu lat siedemdziesiątych.

- O, właśnie, potrzebuję waszej rady. Gdzie można kupić jakieś odpowiednie ciuszki?

- Niedaleko jest sklepik z używaną odzieżą, naprzeciwko Woolwortha. W pokoiku na tyłach mają mnóstwo spodni dzwonów, hippisowskich kaftanów i koszul z falbankami. Zajrzyj tam, jadąc do domu.

- Chyba tak zrobię.

Jeśli będę mieć czas, dodała w myślach. Muszę przecież kupić pampersy i sok pomarańczowy oraz odebrać dzieci.

- Jest pani dzisiaj piątą osobą, która szuka czegoś z tamtych czasów - ze śmiechem oznajmiła ekspedientka. - To na bal w klubie medyków?

- Tak. Pewnie niewiele zostało, skoro wszyscy już tu byli.

- Jaki rozmiar pani nosi? - Kobieta przymrużyła oczy i obejrzała Jo od stóp do głów.

- Zazwyczaj dziesiątkę.

- Tak myślałam. Mam tu taką sukienkę... - Gestem wskazała pokój, o którym wspomniała Pru. - Wszystkie klientki miały na nią ochotę, ale była za ciasna. Na panią powinna być dobra. Proszę spojrzeć.

Uszyta z zielonkawego szyfonu sukienka sięgała do połowy łydki, miała duży dekolt, długie, rozszerzające się w okolicy nadgarstków rękawy i falujący, kloszowy dół.

- Moja mama poszła kiedyś w takiej sukni na spotkanie z przyjaciółkami.

- Chce pani przymierzyć?

- Niestety, nie mam teraz czasu - odparła Jo, zerkając na zegarek. - Ale chyba to dobry rozmiar, więc zaryzykuję i wezmę ją.

- Może pani oddać, gdyby okazała się za mała. Mam jednak nadzieję, że będzie dobra. Jako blondynka powinna pani wyglądać w niej oszalamiająco.

Niedługo później Jo zaparkowała auto przed domem Sue Meadows. Jamie leżał w salonie na dywaniku, wierzgał, gulgotał i pracowicie usiłował wepchnąć sobie do buzi plastikowego pieska.

- Jak się dzisiaj zachowywał? - spytała Jo, gdy Sue schyliła się po dziecko.

- Jak aniołek.

- Wątpię, czy po dzisiejszej nocy jego wujek się z tobą zgodzi.

- Czyżby Jamie dał mu się we znaki?

- Coś w tym stylu. Wstyd przyznać, ale ja nic nie słyszałam. Spałam jak suseł.

- To znaczy, że... mieszkasz z panem Gregsonem?

- Tak. Pan Gregson potrzebował kogoś, kto mógłby zostać z dziećmi, gdyby jego w nocy wezwano do szpitala.

- Sądziłam, że on pracuje tylko na dziennej zmianie. - Sue zaczęła zbierać rzeczy Jamiego.

- Tak, ale większość anestezjologów jest na specjalnej liście, co oznacza, że bywają wzywani na różne oddziały i, rzecz jasna, są niezbędni w nagłych przypadkach.

- Rozumiem. Cóż, znalazł się w trudnej sytuacji, ale poradził sobie fantastycznie, gdy pani Cunningham niespodziewanie musiała wyjechać. Mało który mężczyzna zrobiłby to co on. Nie ma swoich dzieci, a zajął się trójką cudzych. Dzielny człowiek.

- To prawda - zgodziła się Jo. - Ale te dzieci go uwielbiają.

- Och, na pewno. Nie zrozum mnie źle; to oczywiste, że one są dla niego jak własne. Chciałam tylko powiedzieć, że wziął na siebie poważne obowiązki. Ale teraz, gdy ma ciebie, będzie mu o wiele łatwiej.

- Jeśli oczywiście zacznę się budzić, kiedy Jamie w nocy się rozplacze.

- To tylko kwestia czasu - ze śmiechem stwierdziła Sue, podając Jo niemowlę.

Jo w zamyśleniu posadziła Jamiego w samochodowym foteliku. Po rozmowie z Sue doszła do wniosku, że Pru miała rację. Ludzie rzeczywiście wykazują skłonność do niewłaściwego interpretowania faktu, że zamieszkała z Lewisem.

W przedszkolu okazało się, że niektórzy posunęli się w tej interpretacji bardzo daleko. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami Jo weszła do budynku, gdyż dzieciom wolno było go opuszczać tylko w obecności upoważnionej osoby. Jo musiała jednak wziąć z sobą Jamiego, ponieważ nie mogła zostawić go samego w samochodzie. Szybko odszukała Francescę, która na jej widok wydała z siebie radosny pisk.

- Już przyszła! To ona! To Jo!

- Przez cały dzień nam powtarzała, że to właśnie pani ją odbierze - ze śmiechem oznajmiła nauczycielka.

- Naprawdę? - Jo niezmiernie się ucieszyła. - Cześć, Francesco. - Uśmiechnęła się do dziewczynki, która podskakiwała podekscytowana, rozśmieszając tym Jamiego. - Miałaś przyjemny dzień?

- Tak, i narysowałam dla ciebie obrazek. - Francesca z dumą podniosła rysunek, aby Jo mogła go zobaczyć.

- Śliczny - oświadczyła Jo na widok plam, czarnej i białej. - To pingwiny czy mewy?

- Coś ty! - skarciła ją Francesca. - To jesteś ty - wskazała na jasnego kleksa - a to wujek Lew.

- Rozumiem. - Jo trochę się zmieszala. - Cóż, bardzo ładnie nas namalowałaś.

- Chyba powinnam złożyć gratulacje - powiedziała nauczycielka. Wzięła rysunek i starannie go zwinęła.

- Gratulacje? - Jo popatrzyła na nią zdumiona.

- Francesca opowiedziała nam o pani i jej wujku.

- O mnie i jej wujku?

- O tym, że się pobieracie. Ten rysunek przedstawia młodą parę. - Dopiero teraz kobieta spostrzegła zdumioną minę Jo. - O mój Boże. Czyżby kolejny wytwór dziecięcej wyobraźni?

- Obawiam się, że tak.

- A więc pani i pan Gregson nie zamierzacie...?

- Oczywiście, że nie. Pan Gregson jest moim pracodawcą. Pomagam mu opiekować się dziećmi podczas nieobecności ich matki,

- To zadziwiające, co maluchom potrafi przyjść do głowy. Człowiek czasem się zastanawia, skąd się biorą te ich pomysły.

- Cóż, Francesca rzeczywiście chciała udawać, że my, to znaczy pan Gregson i ja, jesteśmy jej rodzicami - wyjaśniła Jo, patrząc na Francescę, która uważnie przysłuchiwała się rozmowie.

- Ciekawe dlaczego?

- Alistair powiedział, że Jo jest dziewczyną wujka Lew - pisnęła Francesca. - Dlatego powinni wziąć ślub!

- Boże drogi! - jęknęła Jo. - Nie mam pojęcia, co skłoniło Alistaira do takiego oświadczenia.

- Ja wiem - uroczyście oznajmiła Francesca. - Wujek Lew cię całował.

- Naprawdę? - Nauczycielka z trudem zachowywała powagę.

- Najwyższy czas iść po Alistaira. - Jo nie zamierzała przeciągać tej rozmowy. Pożegnała rozbawioną nauczycielkę, wyszła wraz z dziećmi z budynku i pomaszerowała przez wielki trawnik do szkoły Alistaira.

Nie przewidziała, że będzie musiała pokonać tak dużą odległość. Jamie wydawał się coraz cięższy i zaczęły ją boleć ramiona.

- Czy wasza mamusia niesie Jamiego, kiedy idziecie po Alistaira? - spytała Francescę, która przykucnęła, aby zerwać parę stokrotek.

- Nie. - Francesca przecząco potrząsnęła głową. - Wsadza go do wózka.

- Szkoda, że o tym nie pomyślałam.

Właśnie w tej chwili z klasy wysypała się kilkunastoosobowa grupka dzieci. Na widok Jo i rodzeństwa Alistair raptownie się zatrzymał i jakby zawahał.

- Cześć, Alistair! - zawołała Francesca.

- Miałeś dobry dzień? - spytała Jo.

- Chyba tak - mruknął.

Miał taką nieszczęśliwą, wręcz zrozpaczoną minę, że Jo nagle zrobiło się go żal. On też na pewno tęskni za matką. Może na moment zapomniał, że wyjechała, i spodziewał się zobaczyć ją tutaj, a spotkało go straszne rozczarowanie. Jo poprawiła na biodrze Jamiego, podeszła do chłopca i wzięła go za rękę. On jednak natychmiast ją wyszarpnął.

- Nie rób tego! - syknął.

- Przepraszam. Dlaczego nie chcesz, żebym trzymała cię za rękę?

- Oni mogą zobaczyć. - Szybko zerknął przez ramię na kolegów i Jo spostrzegła, że zaczerwienił się po korzonki włosów. - Dlaczego musiałaś przyjść aż tutaj?

- Wybacz. Sądziłam, że twoja mama tak robiła.

- Nie - odparł gniewnie. - Ona zawsze czeka tam. - Ruchem głowy wskazał przejście tuż przy bramie, gdzie właśnie stało kilka matek.

- Nie wiedziałam.

- Ale ona wiedziała. - Alistair dał siostrze kuksańca.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś, Francesco?

- Chciałam zerwać trochę stokrotek.

- Chyba muszę sporo nauczyć się o dzieciach - żałośnie stwierdziła Jo.

Był wieczór i maluchy już leżały w łózkach. Przy kolacji składającej się z resztek zapiekanki Jo opowiedziała Lewisowi o incydencie podczas odbierania Alistaira i Franceski.

- Nie ty jedna - odparł Lewis.

- Teraz przynajmniej znam swoje braki w tej dziedzinie.

- Warto pamiętać, że świat dzieci jest nieco inny niż świat dorosłych. Dzieci też są różne, nie można mierzyć ich tą samą miarką i uważać za małe głuptaski.

Zerknął na korkową tablicę, gdzie zgodnie z żądaniem Franceski Jo przypięła jej rysunek.

- Wiesz, co przedstawia ten obrazek? - spytał z kwaśnym uśmiechem.

- O, tak. Nauczycielka najpierw złożyła mi gratulacje, a potem wyjaśniła ich powody.

- Ciekawe, co Francesce strzeliło do głowy? - Lewis skończył jeść i wygodniej usiadł na krześle.

- Wczoraj spytała mnie, czy na razie wolno jej udawać, że ty i ja jesteśmy jej rodzicami. Zgodziłam się, więc może po prostu uznała, że powinniśmy być małżeństwem.

Lewis zaśmiał się wesoło.

- Te dzieciaki całkiem cię zawojowały, prawda?

- Owszem - przyznała pogodnie. - A wracając do Franceski, poinformowała wychowawczynię, że z pewnością jestem twoją dziewczyną, ponieważ Alistair widział, jak mnie całowałeś.

- Znow to samo? - jęknął i oboje parsknęli śmiechem. - Możliwe, że wkrótce ludzie zaczną gadać. Wiesz, o co mi chodzi: nie tylko mieszkają razem, ale...

- Nie przejmuję się plotkami - oświadczyła, sprzątając ze stołu. Lewis milczał, więc spojrzała na niego. - Ty chyba też nie?

- Raczej nie - odparł. - Ale przyznaję, że nie lubię, gdy ktoś błędnie rozumie sytuację. - Urwał, ponieważ zabrzączał stojący za nim telefon. Gdy go odebrał, Jo zaczęła wkładać naczynia do zmywarki. Prawie skończyła, gdy Lewis odłożył słuchawkę i wstał.

- Wybacz, muszę jechać do szpitala.

- W porządku, jedź.

- Wszystko zostanie na twojej głowie...
- Właśnie po to tu jestem.
- No tak, ale...
- Jedź - powtórzyła. - Zobaczymy się później.
- To może być dużo później. Albo wkrótce, trudno powiedzieć.

Po wyjściu Lewisa skończyła sprzątać kuchnię, zrobiła wielkie prasowanie i wykapała się. Przed pójściem spać zajrzała jeszcze do dzieci. Cała trójka na szczęście smacznie spała.

Alistair był zakopany w pościeli po uszy, natomiast Francesca zrzuciła kołdrę na podłogę. Jo przykryła dziewczynkę i odsłoniła buzię Alistaira. Następnie sprawdziła, co u Jamiego. Leżał w takiej pozycji, w jakiej go zostawiła, więc wycofała się z pokoju i poszła do siebie. Właśnie miała się położyć, gdy zauważyła torbę z kupioną dziś sukienką. Całkiem o niej zapomniała!

Wyjęła ją i lekko nią potrząsnęła. Po namyśle postanowiła ją zmierzyć, aby jutro ewentualnie oddać, gdyby nie pasowała. Trochę bez przekonania wciągnęła ją przez głowę, po czym wygładziła na biuście i biodrach. Rozmiar okazał się idealny, jak gdyby sukienkę uszyto na miarę.

Otworzyła drzwi garderoby i spojrzała w umieszczone na nich duże lustro. Na widok swego odbicia musiała przyznać, że się sobie podoba. Wyglądała stylowo i ładnie, chociaż suknia miała niemodny fason. Właśnie zamierzała rozpiąć suwak i się rozebrać, gdy usłyszała ciche kwilenie Jamiego. Podeszła do drzwi i przez moment nadsłuchiwała. Jeśli Jamie chce pić lub trzeba go przewinąć, to lepiej zrobić to teraz, niż później do niego wstawać.

Jamie znów zakwilił. Tym razem Jo poszła do jego pokoju. Zatrzymała się przy drzwiach i popatrzyła na dziecko. Zamruczało coś przez sen, poruszyło rączkami i główką, ale się nie obudziło. Jo obserwowała je jeszcze przez kilka minut, dopóki się nie uspokoiło. Po chwili w sypialni było słychać tylko cichy, miarowy oddech śpiącego maleństwa.

Na palcach wycofała się z pokoju i wtedy usłyszała inny dźwięk - zgrzytnięcie obracanego w zamku klucza. Z podestu schodów spojrzała w dół. W holu stał Lewis i cicho zamykał drzwi. Jest wykończony, przemknęło Jo przez myśl, gdy odwrócił głowę. Wczorajszej nocy spał niewiele, przez cały dzień pracował, wieczorem pomagał przy dzieciach i na dodatek musiał znów pojechać do szpitala.

Teraz postąpił krok w stronę kuchni, lecz wiedziony impulsem nagle podniósł głowę. Jo przywitała go uśmiechem, ale wbrew jej oczekiwaniom nie odpowiedział tym samym. Po prostu wbił w nią wzrok i milczał.

- Lewis? - Wyszła z cienia i stanęła w zasięgu światła stojącej w holu lampy. Lewis nadal nic nie mówił, więc zaczęła powoli schodzić na dół. - Lewis, czy coś się stało?

- Co? - Wzdrygnął się lekko, jak gdyby wyrwała go z transu. - Nie, nic się nie stało.

- Dlaczego tak dziwnie na mnie patrzysz?

- Przepraszam, Jo. Ta sukienka... Wyglądasz cudownie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Poczuła, że coś w niej drgnęło. Wiedziała, że to reakcja na ten szczególny wyraz w oczach Lewisa. Lecz czar natychmiast prysł, więc szybko zbiegła do holu.

- Dziękuję za miły komplement - zaszcebiotała, usiłując nadać głosowi beztroskie brzmienie, choć coś dławiło ją w gardle. - Kupiłam tę sukienkę właśnie dzisiaj, i to w sklepie z używanymi ciuzzkami. Trudno uwierzyć, prawda? Jest z lat siedemdziesiątych, w sam raz na tę sobotnią zabawę w klubie. - Urwała, świadoma faktu, że zaczyna paplać. - Jak poszła operacja? - spytała, aby zmienić temat.

- W porządku. - Wzruszył ramionami. - Dzieci śpią?

- Oczywiście. Napijesz się czegoś ciepłego?

- Tak, zaraz sobie coś wezmę.

- Nie, ja ci przygotuję. Wyglądasz na zmęczonego.

- Jestem wykończony - przyznał, wchodząc za nią do kuchni.

- To zrozumiałe. - Wlała do garnka mleko. - Ostatnia doba dała ci się we znaki. - Wyjęła z szafki dwa kubki i otworzyła puszkę z czekoladą w proszku. - Ja zajmę się Jamiem, jeśli dzisiaj będzie marudził. - Lewis uniósł brwi, toteż dodała: - Zostawię uchylone drzwi sypialni, więc go usłyszę. A ty zamknij swoje, żebyś się nie zbudził.

- Kuszące. Chyba się zgodzę - oświadczył, przyglądając się, jak napełnia kubki ciepłym mlekiem.

- Powinieneś. Nie jesteś nadczłowiekiem, a rano idziesz do bardzo odpowiedzialnej pracy.

- Twoja też taka jest - odparł, biorąc od niej kubek.

- Dlatego proponuję, żebyśmy w nocy niańczyli Jamiego na zmianę. To ułatwi nam życie.

- Zgoda, wygrałaś. - Po raz kolejny oszołomiło ją ciepło jego uśmiechu. I jeszcze coś innego: ten szczególny błysk, który znów pojawił się w jego oczach. Lecz nie zdążyła się nad tym zastanowić, ponieważ Lewis dodał: - Ta sukienka rzeczywiście jest śliczna.

- Miałam szczęście, że udało mi się ją kupić - powiedziała, nagle zakłopotana. Odwróciła się i wzięła swój kubek. - W tym sklepie już nie było z czego wybierać.

- Cieszysz się, że idziesz? - spytał nieoczekiwanie.

- Na tę zabawę? Chyba tak.

- Umówiłaś się z Marcusem Jacobsem? - zapytał obojętnym tonem, lecz Jo wyczuła jakby nutkę niechęci, której nigdy przedtem w głosie Lewisa nie słyszała.

- Tak... Dlaczego pytasz?

- Och, bez powodu. - Wypił łyk czekolady. - Tyle że...

- Że co?

- Właściwie nic. Naprawdę.

- Przecież powiedziałaś „Tyle że...” i raptownie urwałaś. O co chodzi?

- Cóż, Marcus Jacobs nie ma najlepszej opinii.

- Potrafię o siebie zadbać - odparła.

- Nie wątpię. Po prostu nie chciałbym, żeby cię zraniono.

- Nie musisz się o to martwić - prychnęła niemal kpiąco. - Nie ma mowy, żeby znów mnie to spotkało... - Nie dokończyła, zła na siebie, że w porę nie ugryzła się w język. Szybko zerknęła na Lewisa. Niestety, usłyszał jej słowa.

- To znaczy, że już przeżyłaś coś takiego? - spytał cicho.

Skinęła głową.

- Niedawno?

- Tak. Dlatego przeprowadziłam się do Queensbury.

- Rozumiem. Nowy początek i tak dalej?

- Coś w tym stylu. - Z trudem przełknęła ślinę. Wspomnienia nadal były bolesne.

- To było coś poważnego, prawda?

- Sądziłam, że tak. Ale Simon, bo tak miał na imię, potraktował nasz związek inaczej niż ja. Przekonałam się o tym w przykry sposób.

- Chcesz o tym pogadać?

- Nie, chyba nie. Zresztą, sama nie wiem...

- Czasem warto się komuś zwierzyć. To pomaga. Spojrzała na niego i stwierdziła, że on uważnie ją obserwuje. Umknęła spojrzeniem w bok.

- Mówisz, jakbyś wiedział, jak to jest.

- Może wiem.

- Czyżbyś ty chciał się zwierzyć? - spytała niewiele myśląc i zaraz zaczęła się zastanawiać, kto w przeszłości zranił Lewisa.

- Mój romans to dawne dzieje. Czas stopniowo wyleczył rany. Ale ty chyba wciąż cierpisz.

- Simon był lekarzem - rzekła po chwili milczenia. - Odbывał właśnie praktykę w szpitalu, w którym pracowałam, w Berkshire. Zakochałam się po uszy i sądziłam, że z wzajemnością. Spotykaliśmy się ze sobą przez pół roku. Kiedyś pojechałam na weekend do rodziców. Wróciłam dzień wcześniej, niż planowałam, i poszłam do Simona. Chciałam mu zrobić miłą niespodziankę. Zastałam go w łóżku ze szpitalną telefonistką.

- Przykro mi - mruknął Lewis.

- A wiesz, co okazało się najgorsze? - Poczwała pod powiekami łzy. - On sądził, że możemy kontynuować nasz związek, jak gdyby nic się nie stało, jak gdyby jego zdrada nie miała żadnego znaczenia. Powiedział mi, że ta dziewczyna nie liczy się w jego życiu. Nic nie zrozumiał, kiedy mu powiedziałam, że jeśli to prawda, to widocznie ja także się nie liczę.

- To boli, prawda? - Patrzył na nią ze współczuciem.

- Tak. - Wierzchem dłoni otarła z policzka łyzy. - Ciebie też spotkało coś takiego? - Zauważyła, że na jego twarzy leciutko zadrgał mięsień.

- Mam podobne doświadczenia - przyznał z wahaniem. - Z tą tylko różnicą, że już byliśmy zaręczeni, a ona zdradzała mnie z moim najlepszym przyjacielem.

- Boże, to nawet gorsze - jęknęła.

- Cóż, od tego czasu minęły lata. - Lewis wzruszył ramionami. - Ale pozostała mi ostrożność, ponieważ nie chciałbym przeżyć czegoś takiego jeszcze raz.

- Ja też nie. Dlatego nie zamierzam ryzykować.

- Chyba już pójde spać. - Dopił czekoladę i wstał. - Dzięki.

- Dobranoc, Lewis.

- Dobranoc, Jo.

Tej nocy długo nie mogła zasnąć. Nie tylko dlatego, że nadsluchiwała, czy Jamie nie kwili. Myślała także o Lewisie i o tym, co dzisiaj ujawnił na temat swego życia prywatnego. Ta garść szczegółów sprawiła, że stał się bardziej prawdziwy i bliższy. Ciekawe, jaka była ta jego narzeczona i jakie kobiety mu się podobają. Powiedział, że wygląda cudownie w zielonej sukience. Czyżby lubił blondynki drobnej budowy? A może tylko ten strój przypadł mu do gustu?

Próbował ją ostrzec, napomykając o Marcusie. Niewątpliwie znał go od dawna.

Uśmiechnęła się do siebie w ciemności. Wiedziała, że nie dopuści do tego, aby historia się powtórzyła. Potrafiła o siebie zadbać, lecz była też wdzięczna Lewisowi za jego troskliwość.

Z tą myślą odpłynęła w sen. A rano obudził ją nie płacz Jamiego, lecz słodki trzask drozda śpiewającego na krzaku bzu pod oknem jej sypialni.

W ramach poznawania różnych aspektów pracy na chirurgii tego dnia Jo dyżuruwała w przyszpitalnej przychodni pod czujnym okiem pielęgniarki Janet Luscombe.

Janet była osobą energiczną i nie traciła czasu na pogaduszki. Teraz z satysfakcją spojrzała na salkę z dwoma rzędami starannie zasłanych łóżek i sprawdziła listę pacjentów.

- Jo, bądź uprzejma wezwać z poczekalni pierwsze dwie osoby. Jest to Brenda Marshall na zabieg wycięcia guzka w piersi i Gwen Holt na usunięcie żyłaków.

Personel przychodni nosił inne stroje niż pielęgniarki na oddziale operacyjnym, Jo miała więc teraz na sobie sukienkę w biało-niebieską kratkę, czarne rajstopy i pantofle na płaskim obcasie.

W poczekalni panował tłok. Na widok Jo ludzie podnieśli głowy, z uwagą słuchając wyczytywanych nazwisk.

Brenda Marshall okazała się smukłą szatynką w eleganckim, beżowym kostiumie, natomiast Gwen Holt była tęgą panią, której towarzyszyły dwie inne, równie „puszyste” kobiety objuczone niezliczonymi plastikowymi torbami z zakupami, stojące obok wózków z małymi dziećmi.

- Ja też mam iść, kochaniutka? - Gwen Holt podniosła się z trudem.

- Tak, bardzo proszę.

- Cóż, chyba lepiej mieć to z głowy - oświadczyła Gwen. - Do zobaczenia, dziewczęta. Nie zapomnijcie po mnie przyjechać. Bywajcie, cukiereczki. - Głośno cmoknęła dzieci w policzki i poszła za Jo. - O której będzie zabieg?

- Wkrótce - odparła Jo. - Są panie na początku listy.

- Denerwujesz się, kochaniutka? - Gwen spojrzała na milczącą Brendę Marshall.

- Przecież nie przyszliśmy na piknik, prawda? - wycodziła młodsza kobieta.

- Och, ja chętnie położę swoje nogi i porządnie się prześpię. Co ci dolega? - spytała ciekawie. - Mnie wreszcie usuną żyłaki - dodała, gdy Brenda nie odpowiedziała. - Dawniej byłam fryzjerką. Trudno w to uwierzyć, prawda? -

Zachichotała. - Tyle lat roboty na stojaka, piątka dzieci i problem gotowy. Mój lekarz ostatnio mnie pogonił. „Gwen”, mówi, „nie możesz dłużej zwlekać. Te żyłki wyglądają coraz gorzej, więc...” - Urwała, ponieważ Jo przystanąła.

- Proszę się rozebrać - Jo zasunęła zasłony przy dwóch pierwszych łóżkach - i włożyć te szpitalne koszule oraz swoje szlafroki i kapcie. Zaraz do pań wrócę.

Po chwili przyniosła karty obu pacjentek, skierowania od ich lekarzy, pojemniczki na mocz, plastikowe bransoletki, termometry i aparat do pomiaru ciśnienia krwi.

Brenda Marshall siedziała na brzegu łóżka, odziana w kremowy, atlasowy szlafrok i atlasowe ranne pantofle. Potwierdziła, że jest na czczo, a Jo napisała nazwisko, datę urodzenia, numer szpitalny i nazwisko lekarza Brendy na małej karteczce. Wsunęła ją do wnętrza identyfikacyjnej bransoletki i starannie zapięła ją na przegubie pacjentki. Następnie zmierzyła jej temperaturę, sprawdziła ciśnienie i poprosiła o pobranie próbki moczu.

- Wszystko w porządku, kochaniutka? - zapytała Gwen ze swojego łóżka.

Brenda napotkała wzrok Jo i wzniosła oczy ku niebu. Nie ulegało wątpliwości, że jest rozdrażniona zachowaniem przymusowej sąsiadki.

- Najzupełniej - odparła za Brendę Jo. - Zaraz do pani przyjdę, pani Holt.

- Pani Holt? Wielkie nieba, jakbym słyszała moją najdroższą teściówkę. Nie mogłabyś nazywać mnie Gwen, słodziutka? Wszyscy tak do mnie mówią.

Jo zerknęła na Brendę i odniosła wrażenie, że kąciki jej ust leciutko drgnęły.

- Dobrze - odparła. - Niech będzie Gwen.

- Wkrótce przyjdzie tu konsultant i anestezjolog - ciągnęła Jo nieco ciszej - ale najpierw muszę zadać pani kilka pytań. Guzek znajduje się w lewej piersi?

- Tak.

- Jest pani na coś uczulona? Na jakies leki, na przykład penicylinę?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Pali pani papierosy?

- Nie.

- Czy ma pani protezy dentystyczne, tymczasowe plomby lub korony?

Nosi pani aparat słuchowy lub soczewki kontaktowe?

- Mam dwie porcelanowe korony.

- Porcelanowe koronki, co? - zawołała Gwen Holt. - Prawdziwy luksus.

Moje ząbki muszą się zadowolić plombami z amalgamatu.

- Gwen, bardzo proszę, nie przeszkadzaj. Zaraz do ciebie przyjdę.

- Przepraszam.

- Jaki jest ogólny stan pani zdrowia? - Jo znów skupiła uwagę na

Brendzie. - Astma, cukrzyca, epilepsja?

- Nie.

- To dobrze. W jaki sposób wróci pani do domu?

- Mąż po mnie przyjedzie.

- Będzie dziś wieczorem w domu razem z panią?

- Tak.

- Można? - Zza parawanu wyłonił się Lewis. Ich oczy natychmiast się spotkały i Jo z jakiegoś nieznanego powodu zrobiło się ciepło na sercu. Nagle poczuła się tak, jak gdyby znała Lewisa przez całe życie, a nie od kilku dni.

- To nasz anestezjolog, doktor Gregson, który panią zbada - wyjaśniła Brendzie. - Doktorze Gregson, to Brenda Marshall, która zgłosiła się na zabieg usunięcia guzka.

Lewis uprzejmie pozdrowił pacjentkę, wysłuchał informacji Jo na temat zdrowia Brendy i sprawdził, w którym miejscu ma porcelanowe korony.

Następnie delikatnie ją zbadał.

Jo dyskretnie go obserwowała. W ciemnym garniturze pod lekarskim fartuchem, białej koszuli i okularach wyglądał jak wysokiej klasy specjalista. Trudno było uwierzyć, że to ten sam mężczyzna, którego dziś rano spotkała na schodach odzianego w szlafrok.

- Wszystko wydaje się w porządku - oświadczył, wyjmując z uszu słuchawki stetoskopu. - Ma pani jakieś pytania?

- Czy po narkozie będę źle się czuć?

- Raczej nie. - Spojrzał na jej kartę. - Widzę, że jako nastolatka przeszła pani operację wycięcia wyrostka robaczkowego. Czy po zabiegu miała pani mdłości?

- Tak.

- Wobec tego podam pani środek przeciwwymiotny. To powinno podziałać. Jeszcze coś?

- Nie, chyba że ma pan coś pokonującego strach.

- Niestety, nie - odparł cicho. - Ale proszę się nie niepokoić. Może nie ma potrzeby. - Mówiąc to lekko dotknął ramienia Brendy, jakby tym gestem chciał dodać jej otuchy. - Siostra oddziałowa zaprowadzi panią teraz do sali, gdzie podam pani narkozę. Później znajdzie się pani w bardzo dobrych rękach doktora Hughesa. Widziała się pani z nim?

- Jeszcze nie - odparła za Brendę Jo. - Doktor Hughes zjawi się lada chwila.

- Chirurg z pewnością wyjaśni pani wszelkie wątpliwości związane z zabiegiem. A po jego zakończeniu przyjdę do pani na oddział. - Pożegnał ją skinieniem głowy i wyszedł.

Jo wzięła głęboki oddech i udała się do Gwen Holt.

- Witaj, kochaniutka. - Gwen odłożyła kolorowe czasopismo i szeroko się uśmiechnęła. - Teraz moja kolej, co? Zanim zaczniesz pytać, od razu wszystko ci wyśpiewam. Kopczę papieroski, ale ostatnio zesłałam do piętnastu dziennie. Mam częściową protezę - o tu, na górze. Jestem uczulona na wszystkie metale z wyjątkiem złota. Poza tym piersiasta ze mnie kobita i zawsze dostaję zadyszki. Od północy nie miałam nic w ustach - nawet nie wypłam porannej kawki, co prawie mnie zabiło. Aha, nie noszę szkieł kontaktowych. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

- Chyba podałaś mi większość informacji, ale zapiszemy je teraz po kolei, dobrze? Najpierw twoje imię, nazwisko i datę urodzenia.

Jo zastosowała identyczną procedurę jak w przypadku Brendy Marshall. Właśnie notowała ostatnie dane Gwen Holt, gdy poczuła na ramieniu jej dłoń. W odpowiedzi na pytające spojrzenie Jo Gwen przyłożyła palec do ust i zerknęła na kotarę oddzielającą ją od Brendy.

- Biedactwo - szepnęła bezgłośnie, jednocześnie dotykając swojej piersi.

Jo na szczęście nie musiała reagować na to spostrzeżenie. Uratował ją od tego Lewis, który lekko rozchylił zasłonkę.

- Proszę wejść, doktorze. - Jo odetchnęła z ulgą. - Właśnie skończyliśmy. Gwen, to jest doktor Gregson.

- A więc to pan zamierza zwalić mnie z nóg? - Gwen bez żenady obejrzała go od stóp do głów.

- Mówiąc w przenośni, tak. Witam, pani Holt.

- Pani Holt woli, żeby mówić do niej Gwen.

- W porządku - bez mrugnięcia okiem zgodził się Lewis.

- A jak ty masz na imię, kochaniutki?

- Lewis - odparł, odrobinę zdumiony.

- To tak jak chłopaczek mojej Mandy!

- Naprawdę? - spytał Lewis z nieprzeniknioną miną. - Siostrze, czy jest coś, co powinienem wiedzieć o Gwen?

- Od czego biedulka ma zacząć? - Gwen zaśmiała się. - Chyba jestem koszmarem każdego anestezjologa. Mam nadwagę, palę, dostaję zadyszki, co tylko chcesz. Do wyboru, do koloru.

- Zaczniemy więc od tego, że cię zbadam. - Lewis usiadł na brzegu łóżka i sięgnął po stetoskop.

Podczas badania Gwen nie zamykały się usta, toteż wkrótce wiedzieli o niej prawie wszystko.

- No i co? - spytała na koniec. - Koszmar ze mnie, prawda?

- Uznam to raczej za wyzwanie - odparł Lewis. - Ale byłoby lepiej, gdybyś zrzuciła parę kilogramów i przestała palić. Dzięki temu nie będziemy musieli mówić o koszmarach i wyzwaniach, jeśli przyjdzie nam znów się tu spotkać.

- Jak to, znów? - urażonym tonem zawołała Gwen. - Ledwie się zdecydowałam na ten zabieg!

- Do zobaczenia, Gwen. - Lewis pośpiesznie umknął za zasłonę. Idąc do kolejnego pacjenta, lekko się uśmiechał.

- Co za słodki doktorek. - Gwen westchnęła. - Prawda, siostrzo?

- Tak, jest bardzo miły - przyznała Jo.

- Żonaty?

- Nie.

- No to łakomy z niego kąsek. - Gwen włożyła szlafrok, a Jo odsunęła zasłonki, odsłaniając oba sąsiadujące łóżka. - A ty masz męża, dziewczyno?

- Nie, Gwen, jestem panną.

- Słyszałaś? - Gwen z ukosa łypnęła na Brendę. - Może kroi się szpitalny romansik? Tylko pomyśl! Wolny jak ptak, wspaniały doktorek i nasza śliczna siostrzyczka. Pasowaliby do siebie, no nie?

- Prawdę mówiąc, Gwen, doktor Gregson pracuje tu jako konsultant - wyjaśniła Jo.

- To jeszcze lepiej. Pewnie jest bogaty. Na twoim miejscu zakreśliłabym się koło niego, siostrzo. Warto złapać takiego mężusia. Dzisiaj trudno o dobrą partię. Wszędzie prawie same łobuzy, które zadzierają nosa, a temu dobrze z oczu patrzy...

- Pani Holt! - karcącym tonem przerwała jej Jo. Nie wątpiła, że Lewis słyszy każde słowo, ponieważ właśnie badał kogoś za Brendą Marshall.

- Co, kochaniutka? Znowu coś palnęłam?

- Może zechciałabyś mówić nieco mniej.

- Och, przepraszam. Wiem, że za dużo gadam. Nawijam i nawijam. Zwróć mi uwagę, kiedy znów zacznę. Dobrze, kochaniutka? - Spojrzała na Brendę, która sięgnęła po książkę i bezradnie potrząsnęła głową.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wszystkie osoby z porannej listy kolejno zbadano i przygotowano do zabiegu, a lekarze udali się do szatni, by przebrać się w zielone stroje. Jo i Janet zostały z pacjentami - odpowiadały na ich pytania, wyjaśniały wątpliwości i dodawały otuchy. Potrzebowała jej zwłaszcza Brenda Marshall, która była coraz bardziej zdenerwowana.

- Cierpliwości, kochaniutka. Wkrótce będzie po wszystkim - usiłowała ją pocieszyć Gwen.

- Może dla ciebie - prychnęła Brenda, w końcu sprowokowana do odwetu. - Usuną ci te żyłaki, pojedziesz do domu, przez parę tygodni potrzymasz nogi w górze i na tym koniec. A mnie może czeka utrata piersi, długie leczenie, chemioterapia. Wyłysięję i będę ledwie żywa...

- Przestań mówić takie rzeczy, kochaniutka. Źle do tego podchodzisz.

- A jak mam podchodzić? - W głosie Brendy zabrzmiał sarkazm. - Sugerujesz, że powinnam wydać wielkie przyjęcie? Niedługo kończę czterdzieści lat. Mam zaprosić tłum ludzi na dziki jubel?

Jo właśnie miała interweniować, gdy nagle zdarzyło się coś, co ją powstrzymało. Była to odpowiedź Gwen. Jo wysłuchiwała jej z zapartym tchem.

- A dlaczegożby nie? Wyszłoby ci to bardziej na zdrowie niż te jęki i zamartwianie się na zapas. Wiem, masz guzek. Zdarza się to milionom kobiet. Jeśli to coś paskudnego, lekarze zrobią z tym porządek. Przecież po to tu przyszłaś. Ale może się okazać, że wszystko jest w porządku, i opuścisz szpital jak na skrzydłach. Prawdę mówiąc, w lepszym stanie niż ja. Moje stare żyły już się sypią. Owszem, to moja wina, ale fakt jest faktem, a ty na razie nie musisz

się zadrećzać, dopóki się nie dowiesz, czy coś naprawdę ci dolega. Więc głowa do góry!

Jo z lekkim niepokojem zerknęła na Brendę, niepewna jej reakcji. Brenda jednak przyjęła tyradę Gwen wyjątkowo spokojnie. Wkrótce przyszła pielęgniarka z chirurgii, by poprosić pierwszą pacjentkę na zabieg.

- To ty, Gwen - oznajmiła Jo.

- O Boże. Mam się położyć na noszach?

- Może byłoby ci weselej iść piechotą? Nie martw się, odprowadzę cię.

Obie właśnie opuszczały oddział, gdy nieoczekiwanie odezwała się Brenda.

- Powodzenia, Gwen! - zawołała.

Gwen odwróciła się i spojrzała na nią zdumiona.

- Dzięki, kochaniutka. Trzymam za ciebie kciuki.

Gdy zbliżały się do sali, Gwen z przekornym uśmiechem popatrzyła na Jo.

- Czy znowu zobaczę tego przystojnego anestezjologa?

- Oczywiście - pogodnie przyznała Jo. - Jak widzisz, wszystko ma swoje dobre strony.

- Ten cukiereczek może mnie usypiać, kiedy zechce. - Gwen zachichotała wesoło.

Lewis już na nie czekał. Miał na sobie zielony uniform, czepek i maskę.

- Nie ukryjesz się za maską - oświadczyła Gwen. - Każdy cię rozpozna po tych oczach. - Spojrzała na Jo. - Wygląda jak ten aktor z serialu „Ostry dyżur”, prawda?

Jo zerknęła na Lewisa i ich oczy na moment się spotkały.

- Chyba ma pan nową wielbicielkę, doktorze Gregson - mruknęła, zamykając drzwi.

Jo zajęła się Gwen i Brendą, gdy przywieziono je z sali operacyjnej. Obie kobiety były jednak bardzo śpiące i niezdolne do rozmów. W południe

skończyła dyżur, toteż więcej na temat stanu pacjentek dowiedziała się dopiero wieczorem od Lewisa.

Było ciepło i dzieci bawiły się w ogrodzie. Dwoje starszych okupowało huśtawkę i zjeżdżalnię. Jo obserwowała je z patią, a Jamie siedział w wózku.

Nie usłyszała, jak Lewis wchodzi do domu. Dopiero radosny okrzyk Franceski sprawił, że się odwróciła. Na widok Lewisa jej serce gwałtownie zabiło. Później usiłowała sobie wmówić, że ta reakcja to typowy rezultat zaskoczenia.

- Cześć - powiedziała w końcu, niepewna tonu swego głosu. Obawiała się, że zabrzmiał piskliwie i ujawnił jej zakłopotanie.

- Cóż za miła rodzinna scenka. - Lewis ruchem głowy wskazał dzieci. Usiadł obok i delikatnie połaskotał Jamiego w brzuszek.

- Jest taka ładna pogoda, więc pozwoliłam im dłużej pobiegać po dworze. - Jo odwróciła się, nagle skrępowana faktem, że Lewis obudził w niej jakieś nowe, zastanawiające uczucia. Aby ukryć zmieszanie, wbiła wzrok w obsypaną kwieciami koronę jabłonki.

Milczenie przeciągało się, aż stało się prawie namacalne. Jo gorączkowo głowiła się, co powiedzieć, by je przerwać.

- Jak się miewa Brenda Marshall? - spytała w końcu.

- Została wypisana do domu. Zdaniem Edwarda ten guzek nie wyglądał na złośliwy, ale musi to potwierdzić badanie histologiczne.

- Oczywiście. - Jo skinęła głową. - A co z Gwen?

- Och, do końca pozostała sobą. - Lewis zaśmiał się cicho. - Ale co ciekawe, kiedy Gwen leżała osłabiona po narkozie, to właśnie Brenda znalazła się u jej boku, żeby podtrzymać ją na duchu. Według Janet Luscombe obie naprawdę się zaprzyjaźniły, wymieniły nawet numery telefonów. Gwen powiedziała, że musi wiedzieć, kiedy znad głowy Brendy zniknie chmurka niepokoju.

- A jeśli nie zniknie, to Gwen jako pierwsza spróbuje ukoić cierpienie Brendy.

- Właśnie - zgodził się Lewis. - Ludzie to takie dziwne stworzenia. Czasem lubią się i lgną do siebie największe przeciwieństwa.

Oboje znów umilkli. Pograżeni we własnych myślach przyglądali się rozbrykanym dzieciom. W pewnej chwili Lewis ziewnął i przeciągnął się.

- Zmęczony?

- Nie - odparł z szerokim uśmiechem. - Tej nocy udało nam się pospać. - Spojrzał na Jamiego. - Dzisiaj też nas nie zawieź, młody człowieku. A jutro jest sobota - dodał z rozmarzeniem w głosie.

- Chyba nie zamierzasz się wylegiwać?

- Nie jestem aż takim optymistą. Ale przynajmniej nie będzie tego porannego szaleństwa z przygotowywaniem ich do szkoły. Muszę jednak zrobić zakupy. Skończyło się nam wszystko.

- Pójdziemy razem - zaproponowała.

- To nie należy do twoich obowiązków.

- Nonsens. Co dwie głowy, to nie jedna. - Jo wstała niechętnie. - Miło się tu siedziało, ale chyba pora wykapać te urwisy i zapędzić je do łóżek. Alistair! Francesca! Chodźcie do domu!

- Nie! - jęknęła Francesca.

- Za chwilę! - zawtórował jej brat. - Za dziesięć minut!

- Popilnuj Jamiego - Lewis także wstał - a ja zajmę się tymi potworami.

- Nie jesteśmy potworami! - zaprotestowała Francesca.

- Jesteście. A ja jestem królem potworów! - Lewis zgarbił się, zarzucił sobie wiatrówkę na głowę i zaczął uganiać się za dziećmi, które uciekały, piszcząc z uciechy.

Jo przez chwilę ze śmiechem obserwowała tę scenę, rozbawiona zachowaniem Lewisa i spontaniczną reakcją dzieci. Następnie z westchnieniem wprowadziła wózek z Jamiem do domu i wzięła niemowlę na ręce. Przytuliło się

do niej, a ona odruchowo pocałowała je w główkę. I natychmiast przypomniała sobie Gwen Holt całującą swe wnuki. Gwen rzeczywiście potrafiła doprowadzić wszystkich do szału, ale na pewno była kobietą, która potrafi kochać.

Siedziała w ogrodzie i obserwowała dziecko na huśtawce. Wzlatywało coraz wyżej i wyżej, toteż zawołała, aby uważało. Huśtawka zaczęła poruszać się wolniej, a ona stwierdziła, że siedzi na niej nie dziecko, lecz Gwen Holt.

Ale dziecko chyba było gdzieś w pobliżu i płakało, a ona rozmawiała z Gwen, która teraz huśtała się bardzo łagodnie. Gdy otworzyła oczy, było ciemno. Odwróciła się i spojrzała na fosforyzujące wskazówki budzika. Trzecia trzynastka. A więc to tylko sen. Przytuliła głowę do poduszki i znów usłyszała płacz. To nie mógł być sen. Jamie...

Zerwała się z łóżka i w samej koszuli pobiegła do pokoju dziecka. W przyćmionym świetle nocnej lampki zobaczyła stojącego przy komodzie Lewisa.

Miał na sobie tylko trykotowe szorty i usiłował przewinąć Jamiego, który zawzięcie wierzgał, machał rączkami i coraz głośniejszym głosem zawodził.

- Wybacz - zaspanym głosem mruknęła Jo. - Znów obudziłeś się wcześniej niż ja. Mogę ci pomóc?

- Już prawie skończyłem. - Odłożył kolejną higieniczną chusteczkę do wycierania niemowlęcej pupy. - Mały jest wyraźnie czymś rozdrażniony.

- Chyba ząbkuje. Wieczorem miał zarumienioną buzię. Przyniosę mu coś do picia.

Zostawiła Lewisa zmagającego się z samoprzylepnymi plastrami pieluszki i zeszła do kuchni. Napełniła wysterylizowaną butelkę przegotowaną wodą i wróciła na górę. Lewis trzymał niemowlę oparte o bark. Teraz przełożył je w zagłębienie ramienia i wziął butelkę. Przez chwilę było słychać tylko ciche bulgotanie, gdy dziecko łapczywie piło.

- Becky mówiła, że w łazienkowej szafce jest calpol. Może powinniśmy mu dać? - spytał Lewis.

- Czy ja wiem... Jak myślisz?

- Cóż, chyba nie zaszkodzi. To bardzo łagodny środek. - Lewis zerknął na dziecko. - Już wypił, więc niech mu się odbije. Weź go, a ja skoczę po ten calpol.

- Dobrze. - Ostrożnie wyjęła Jamiego z ramion Lewisa i niechętnie musnęła jego nagi tors. Dopiero później pomyślała, że ta nocna scena była prawie niewiarygodna. Ale teraz najważniejszą sprawą było uspokojenie rozdrażnionego maleństwa.

Jamie dostał odrobinę calpolu i w końcu usnął. Jo delikatnie położyła go w łóżeczku i wraz z Lewisem na palcach wyszła z pokoju. Na korytarzu musiała przycisnąć rękę do ust, by nagle nie zachichotać. Lewis zauważył jej minę i przystanął.

- O co chodzi?

- O nic - szepnęła. - Tylko to trochę zabawne, że lekarz i pielęgniarka nie są pewni, czy dziecko może dostać łyżeczkę calpolu.

Lewis także dostrzegł komizm tej sytuacji i lekko się uśmiechnął.

- Bóg raczy wiedzieć, jak dają sobie radę młodzi rodzice - stwierdził. - Ale teraz wracam do łóżka i tobie radzę zrobić to samo. - Zawahał się i dotknął jej ramienia. - Dzięki za pomoc, Jo.

- Nie ma za co - zapewniła z uśmiechem. - Do zobaczenia.

Zasnęła prawie natychmiast. Tym razem spała mocno i nic jej się nie śniło. Obudził ją dzwonek telefonu, lecz nie zdążyła odebrać, ponieważ zaraz umilkł, a ona usłyszała przytłumiony głos Lewisa. Widocznie znów wezwano go do szpitala. Przytuliła głowę do poduszki i westchnęła. Szósta czterdzieści pięć. Przy odrobinie szczęścia może uda się pospać jeszcze kwadrans, zanim zbudzą się dzieci.

- Jo! Obudź się! Przynieśliśmy ci śniadanie.

Otworzyła oczy i tuż przy swojej twarzy zobaczyła buzię Franceski. Za siostrą stał Alistair, a za dziećmi - Lewis z tacą w rękach. Miał na sobie szlafrok i wyglądał na zakłopotanego.

- Mamy dla ciebie sok pomarańczowy i grzanekę - oznajmiła Francesca.

- I kawę - dodał Alistair.

- I kwiatka. Tatuś zawsze daje mamusi różę, ale nigdzie nie było róż, więc zerwałam dla ciebie dzwoneczek, bo ja będę dzwoneczkiem w bajce o kwiatuszkach.

W rogu tacy, w napełnionym wodą słoiku po dzemie, rzeczywiście stał jeden fioletowy dzwonek.

- To bardzo miło z waszej strony. - Jo usiadła. - Ale naprawdę nie musieliście...

- Musieliśmy - uroczyście oświadczyła Francesca. - Nasz tatuś w każdą sobotę pozwala nam przychodzić rano do mamusi.

- Ale on rzadko jest w domu - powiedział Alistair. - A dzisiaj jesteśmy wszyscy, więc chcieliśmy zrobić ci niespodziankę.

- Chyba nie masz nam tego za złe? - spytał Lewis.

- Oczywiście, że nie. - Jo odgarnęła z oczu grzywkę i zerknęła na tacę. - Przyniosłeś coś dla siebie?

- Tak, filiżankę kawy.

- Mamusia zawsze wpuszcza nas do łóżka - z nadzieją w głosie oświadczyła Francesca.

Jo prawie bez wahania odchyliła kołdrę.

- Wskakuj. Ty też, Alistair.

Dzieci nie potrzebowały dodatkowej zachęty i błyskawicznie usadowiły się po obu stronach Jo.

- Ty też, wujku Lew - poleciała Francesca. - Tu jest dużo miejsca.

- Jeśli można, siądę na brzegu łóżka i wypiję kawę. Lepiej, żeby nie wylała się na pościel.

Dzieci zadowolily się tym argumentem i pomogły Jo rozprawić się z posmarowaną marmoladą i pokrojoną na kawałki grzanką.

- Jamie już się zbudził? - spytała Jo słabym głosem. Nie miała ochoty ani zmierzyć się z niestosownością sytuacji, ani spojrzeć Lewisowi w oczy.

- Nie - odparł Alistair. - Jeszcze śpi.

- W nocy był niegrzeczny - z oczywistym zadowoleniem obwieściła Francesca.

- Coś o tym wiemy - potwierdził Lewis z ponurą miną.

- Troszkę marudził, ponieważ zębki dawały mu się we znaki - wyjaśniła Jo.

- On prawie nie ma zębów - oświadczył Alistair.

- Dopiero mu rosną i dlatego cierpi - powiedział Lewis.

- Słyszeliście niedawno dzwonek telefonu? - Jo spojrzała na dzieci.

- Tak. - Francesca wepchnęła do ust kolejny kęs grzanki. - To była mamusia. Powiedziałam do niej „cześć”, ale ona miała taki dziwny głos, jakby płakała.

Jo pytająco zerknęła na Lewisa.

- Nic się nie stało - zapewnił pośpiesznie. - Wczoraj wieczorem rozpoczęli tę nową terapię.

- Dlaczego mamusia mówiła tak śmiesznie? - spytała Francesca.

- Chyba dlatego, że bardzo za wami tęskni - odparł Lewis. Dzieci przez chwilę analizowały tę odpowiedź, po czym

Francesca zmieniła temat tak raptownie, że Jo prawie zaparło dech.

- Wieczorem idziesz na bal, prawda, Jo? - spytała.

- Skąd wiesz?

- Od wujka Lew - wyjaśnił Alistair, ponieważ Francesca znów żuła grzankę. Przełknęła ją i powiedziała:

- Wujek nam mówił, że masz śliczną sukienkę. Mogę ją zobaczyć?

- Myślę, że tak... - Jo czuła na sobie spojrzenie Lewisa i żałowała, że dopiero się zbudziła i ma włosy w nieładzie.

- Przyjdiesz do mnie przed wyjściem? Mamusia zawsze tak robi, żeby mi pokazać, co włożyła.

- Dobrze - zgodziła się Jo.

- Gdzie idziesz? - nieoczekiwanie spytał Alistair. Do tej pory prawie nie brał udziału w rozmowie, zajęty przeglądaniem przyniesionej ze sobą książeczki.

- Do klubu medyków.

- A z kim? - Alistair nagle okazał zainteresowanie.

- Zaprosił mnie jeden z lekarzy - odparła, unikając wzroku Lewisa.

- Wujek Lew jest lekarzem - oznajmiła Francesca. - Z nim idziesz?

- Nie, z kimś innym.

- Jak się nazywa? - drażniła sprawę Francesca.

- Jacobs.

- To głupie nazwisko - prychnęła dziewczynka. - Mamusia zawsze wychodzi z tatusiem. Ty powinnaś iść z wujkiem Lew, a nie z głupim panem Jacobsem. Głupi pan Jacobs, głupi pan Jacobs, głupi pan Jacobs... - wołała, podskakując na łóżku.

- Dosyć, Francesco - rzekł Lewis stanowczo. - Uspokój się, bo przewrócisz kawę Jo.

- I już obudziłaś Jamiego - skarcił siostrę Alistair.

. Z sąsiedniego pokoju rzeczywiście dobiegał coraz głośniejszy płacz dziecka.

- Pójdę go... - odezwała się Jo, ale Lewis ją zatrzymał.

- Nie, skończ śniadanie. A wy idźcie do Jamiego i pozabawiajcie go przez chwilę. Zaraz do was przyjdę. Wybacz tę wymuszoną rodzinną scenkę - dodał ze skruszoną miną, gdy dzieci wybiegły z pokoju. - Uparli się, że zrobią ci niespodziankę, więc postanowiłem nie stawać okoniem.

- Och, nic się nie stało - zapewniła pośpiesznie. - Prawdę mówiąc, sprawiło mi to przyjemność.

- Bóg raczy wiedzieć, co pomyśli wychowawczynie Franceski, kiedy usłyszeli, że w sobotni ranek leżeliśmy wszyscy w jednym łóżku.

- Przecież tak nie było. Ty nie leżałeś w łóżku.

- Nie - odparł z krzywym uśmiechem - ale dla Franceski to bez różnicy.

- Dopił kawę i wstał. - Zostawię cię teraz. I dzięki za udział w tej rodzinnej farsie.

Właśnie, pomyślała, gdy wyszedł. To była tylko farsa. Musiała jednak przyznać, że bardzo miła farsa. Od początku do końca - mimo mnóstwa obowiązków i zarwanych nocy. Z nawiązką rekompensowała je sympatia dzieci oraz fakt, że za partnera miała w tej grze Lewisa. Razem wszystko planowali, razem cieszyli się i razem w nocy uspokajali niemowlę. Te wspólne zajęcia sprawiały Jo przyjemność - podobnie jak to, że Lewis siedział na jej łóżku, gdy przed chwilą jadła śniadanie.

Reszta dnia upłynęła bardzo pracowicie. Zrobili wielkie zakupy i poszli do parku karmić kaczki. Po podwieczorku i kąpieli dzieci Lewis wziął na siebie czytanie bajek, a Jo w swym pokoju przygotowywała się do wyjścia.

Nie była jednak tak podekscytowana, jak się spodziewała. Początkowo sądziła, że tego dnia nie będzie mogła się doczekać randki, ale teraz była po prostu zmęczona i wcale nie miała ochoty nigdzie wychodzić. Leżąc w wannie pełnej wody z aromatycznym olejkiem, pomyślała, że łatwo dałaby sobie wyperswadować dzisiejszą imprezę i została w domu.

Nawet zielona szyfonowa suknia i ulubione perfumy nie poprawiły jej nastroju. Miała tylko nadzieję, że znużenie nie jest zbyt widoczne.

- Och, Jo, ślicznie wyglądasz - na jej widok z podziwem zawołała Francesca. - Pachniesz tak samo jak mamusia - dodała, gdy Jo schyliła się, by pocałować ją na dobranoc.

Po wyjściu z sypialni Franceski Jo przystanąła na moment przed drzwiami do pokoju Alistaira. Lewis nadal coś mu czytał. Obaj podnieśli głowy i Jo spostrzegła na twarzy Lewisa ten sam zastanawiający wyraz, jaki pojawił się wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczył ją w zielonej sukience.

- Baw się dobrze - powiedział cicho.

W tej chwili oddałaby wszystko, żeby nigdzie nie iść. Najchętniej położyłaby dzieci spać, zjadła z Lewisem kolację, wypła kieliszek wina i trochę pogawędziła.

- Nie czekaj na mnie - powiedziała niemal wbrew sobie. - Może wrócę późno.

- Zostawię w holu zapalone światło.

- Dobrze. Dobranoc, Alistair.

- Dobranoc, Jo. Ładnie wyglądasz - sennie zamruczał chłopiec, a na dole zabrzączał dzwonek.

- To pewnie Marcus. Muszę iść. - Umknęła na korytarz, niezdolna spojrzeć Lewisowi w oczy. Była w połowie schodów, gdy Jamie zaczął płakać. Zatrzymała się i spojrzała na piętro. Lewis właśnie wyszedł z pokoju Alistaira i popatrzył na nią.

- Zajmę się nim, Jo.

- A jeśli... znów będzie marudził z powodu zęba?

- Dam mu calpol. Dzisiaj nie ma mowy o żadnych wybrykach. - Znów rozległ się dźwięk dzwonka. - Idź. Nie każ mu czekać.

Poczuła, że coś dławi ją w gardle. Przełknęła ślinę, powoli zeszła na dół i otworzyła drzwi.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ledwie poznała Marcusa Jacobsa. Miał zaondulowane włosy i sztuczne wąsy, a na sobie koszulę z falbankami i fioletowe dzwony.

- Sądzisz, że w latach siedemdziesiątych ludzie rzeczywiście tak się ubierali? - spytała, wsiadając do jego volkswagena.

- Pamiętam mojego tatę w takich spodniach, a mama chyba kiedyś się przewróciła z powodu pantofli na platformach - odparł z szerokim uśmiechem. - Muszę przyznać, że w tej sukience wyglądasz fantastycznie.

- Dzięki. - Spojrzenie Marcusa przyprawiło ją o rumieniec. - Czy ty przypadkiem nie wcieliłeś się w postać jakiegoś detektywa z serialu? - spytała, aby odwrócić uwagę od siebie.

- Tak, udaję Jasona Kinga.

- Właśnie. - Parsknęła śmiechem. - Mama nie pozwalała mi tego serialu oglądać. Twierdziła, że nadają go za późno. Ale chyba chodziło jej o to, że obfitował w sceny przemocy. Cóż, czasy się zmieniają!

- Masz niezłą chatę. - Marcus przekreślił kluczyk w stacyjce.

- To nie mój dom - wyjaśniła pośpiesznie. - Mieszkam tu tylko chwilowo, ponieważ opiekuję się dziećmi.

- Ach tak. - Zsunął stopę z pedału sprzęgła i samochód gwałtownie ruszył. - Bachorami Lewisa Gregsona.

- To są dzieci jego siostry, która musiała wyjechać. - Wolą, by Marcus nie wiedział, że Lewis też tutaj rezyduje. Nie chciała nic wyjaśniać ani niczego uzasadniać.

W klubie już było tłoczno. Z uciechą stwierdzili, że są tu dwa inne sobowtóry Jasona Kinga, zauważyli też dwóch Elvisów Presleyów w białych garniturach, jednego tęgawego, odzianego w kaftan Demisa Roussosa, dwóch dziwaków z zespołu Bee Gees oraz pstrokaty tłumek dzieci kwiatów w sandałach, luźnych szatach i z koralami na szyi.

Marcus przywitał się z kilkoma osobami i zaprowadził Jo do stolika w niszy po przeciwnej stronie parkietu. Następnie poszedł do baru po napoje.

- Cudownie ci w tej sukience!

Jo podniosła głowę i ujrzała uśmiechniętą Pru.

- Sama chciałam ją kupić, ale nie zdołałam się w nią wcisnąć - dodała Pru.

- Ty też masz wspaniały strój - pochwaliła Jo, przyglądając się złotemu kaftanowi, jasnej peruce i kolorowej biżuterii przyjaciółki.

- A on w tym wcieleniu wygląda jeszcze bardziej zabójczo niż zwykle - mruknęła Pru, zerkając na stojącego przy barze Marcusa.

- Z kim przyszłaś?

- Właściwie sama. - Pru wzruszyła ramionami.

- Więc musisz przyłączyć się do nas - oświadczyła Jo.

- Marcusowi to się nie spodoba.

- Nie mów głupstw, tylko siadaj. - Jo zrobiła dla niej miejsce obok siebie.

- A gdzie podziewa się przystojny Lewis?

- Dzisiaj jest nianią. - Jo ze zdziwieniem skonstatowała, że na wzmiankę o Lewisie poczuła niewytłumaczalny skurcz w sercu, prawie żal, że Lewis im nie towarzyszy.

Zaraz jednak skarciła się za to odczucie. Przecież z Lewisem przebywa niemal bezustannie, zarówno w pracy, jak i w domu. Teraz powinna cieszyć się z odmiany. Cały żeński personel szpitala oddałby wszystko za randkę z Marcusem Jacobsem, dlatego należy rozkoszować się tym spotkaniem i cieszyć faktem, że to pierwsza prawdziwa randka po zerwaniu z Simonem.

Marcus właśnie postawił na stoliku dwa kieliszki. Jednocześnie spojrzał na Pru nieco krzywym okiem.

- Poprosiłam, żeby się do nas przysiadła - pośpiesznie wyjaśniła Jo. - Wiedziałam, że nie będziesz mieć nic przeciwko temu.

Milczał, a Jo przyszło nagle do głowy, że obiekcje Pru może były uzasadnione. Nie miała jednak czasu tego analizować, ponieważ disc jockey

właśnie puścił przebój zespołu Abba i na parkiet wyległo mnóstwo ludzi.

Marcus także porwał ją do tańca.

- Umówiłaś się z nią? - spytał, biorąc ją w ramiona.

- Z Pru? Nie, skądże. Ale była sama, więc zaproponowałam jej nasze towarzystwo. Lubię ją. Okazała mi dużo sympatii, kiedy zaczęłam pracę.

Nie odpowiedział, więc odsunęła się lekko, aby na niego spojrzeć.

- Masz coś przeciwko Pru?

- Ależ skąd. - Wzruszył ramionami. - Po prostu nie jest w moim guście.

- Wybacz, jeśli postąpiłam niewłaściwie... - odezwała się chłodnym tonem.

- Nic się nie stało - zapewnił. - Rzecz w tym, że... - Przycisnął ją mocniej do siebie. - Że dzisiaj nie chcę z nikim tobą się dzielić. - Przytulił ją jeszcze bardziej, a jego policzek musnął jej twarz.

Był to przelotny, nic nie znaczący kontakt, lecz sprawił, że Jo poczuła się skrepowana.

Czas płynął niepostrzeżenie, wszyscy szaleli na parkiecie w rytmie znanych przebojów z lat siedemdziesiątych. Marcus nie odstępował Jo na krok. Trochę jej to pochlebiało, ale chętnie zatańczyłaby z innymi kolegami.

Marcus nawet nie zatańczył z Pru i prawie się do niej nie odzywał. Jo było z tego powodu coraz bardziej głupio. Odetchnęła z ulgą, gdy podszedł do nich Gary Kent, jeden z asystentów, i poprosił Pru do tańca.

- Może przesiedzimy ten kawałek? - zaproponował Marcus, przysuwając się do Jo.

- Dobrze - zgodziła się. Rzeczywiście potrzebowała chwili wytchnienia.

- Wiesz co? - Marcus pocałował wewnątrz jej dłoni i zamknął jej palce, jak gdyby chował tam swój pocałunek. - Ty i ja wyjątkowo dobrze do siebie pasujemy. Myślę, że moglibyśmy zacząć się umawiać.

- Tak sądzisz? - Miała ochotę się roześmiać, lecz nie była pewna, czy on przypadkiem nie mówi serio. Ale Marcus chyba nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że mówi banały.

- Wiedziałem o tym, gdy tylko cię zobaczyłem - zamruczał jej do ucha. - Uważam, że powinniśmy lepiej się poznać.

Mówiąc to zsunął ramię z oparcia, objął ją i zaczął bawić się jej włosami. Zesztywniała, choć zazwyczaj nie reagowała w ten sposób, gdy mężczyzna okazywał jej względy. Może po rozstaniu z Simonem jeszcze nie odzyskała dawnej odporności? Lecz nie wnikając w przyczynę, była teraz pewna, że nie ma ochoty na pieszczoty Marcusa. Odsunęła się od niego, lecz on natychmiast się przysunął. Tym razem pozwolił sobie na głaskanie palcem jej policzka. Miała tego wszystkiego dosyć.

- Dokąd idziesz? - spytał ze zdumieniem, gdy wstała.

- Do toalety. - Jakimś cudem zdołała przedrzeć się przez roztańczony tłumek do pustawego holu.

Ochłodziła policzki zimną wodą, poprawiła trochę makijaż i spojrzała na swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Następnie ściągnęła łopatki, wzięła głęboki oddech i psychicznie przygotowała się do ewentualnego starcia z Marcusem. Żałowała, że nie przyjechała swoim samochodem. Ale teraz nic nie mogła na to poradzić, musiała więc jak najlepiej wybrnąć z sytuacji, w którą sama się wpackowała.

Właśnie wychodziła z toalety, gdy weszły do niej dwie młode kobiety. Rozmawiały o dziecku jednej z nich - niemowlęciu, któremu wyrzynają się ząbki i dlatego było marudne.

Jo nie słyszała całej pogawędki, ponieważ wyszła do holu. Nie wróciła jednak do Marcusa. Po głowie wciąż plątały się jej usłyszane przed chwilą słowa. Niemowlę. Wyrzynające się ząbki. Rozdrażnione dziecko. Tak jak Jamie.

Wyobraźnia natychmiast podsunęła obraz Lewisa tulącego niemowlę, Franceski i Alistaira śpiących w swoich łózkach, pięknego, staroświeckiego

domu przy alei Mowbery. I Jo nagle zapragnęła znaleźć się właśnie tam, zamiast w tym hałaśliwym, zadymionym klubie, gdzie usiłuje ją obmacywać prawie obcy mężczyzna.

Wiedziona impulsem podeszła do wiszącego na ścianie telefonu, znalazła w torbie jakieś drobne i wystukała numer Cunninghamów. Po czwartym sygnale usłyszała głos Lewisa. Był taki kojący jak ogień w kominku w zimowy dzień.

- Cześć, Jo. - Chyba trochę się zdziwił, że to ona. - Czy coś się stało? - spytał zaniepokojony, a Jo poczuła, że wzruszenie ściska ją za gardło.

- Nie, wszystko w porządku, tylko trochę hałaśliwie. Chciałam... cię zapytać, czy Jamie dobrze śpi.

- Tak, jak suseł. Na razie.

- Och, to dobrze. Obawiałam się, że możesz mieć z nim problemy. - Umilkła, nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć. - A pozostała dwójka?

- Też już śpi.

- Wspaniale. - Znow pomyślała, że wolałaby być razem z nimi. Dzieci śpiące w swoich pokojach, a ona i Lewis... - Muszę już iść.

- Tak, oczywiście. Do zobaczenia, Jo. - Umilkł, a ona mocno zacisnęła palce na słuchawce. - Jo?

- Tak?

- Na pewno nic ci nie jest?

- Ależ nie, Lewis, naprawdę. Cześć. - Odwiesiła słuchawkę i przez długą chwilę stała nieruchomo, wpatrując się w telefon. W końcu odwróciła się, powoli weszła do zatłoczonej sali i odnalazła Marcusa.

- Nareszcie. - Obrzucił ją uważnym spojrzeniem. - Właśnie się zastanawiałem, gdzie zniknęłaś. Długo cię nie było.

Miała ochotę go zapytać, czy choć trochę się zaniepokoił. Nie zdążyła jednak, ponieważ wrócili Pru i Gary Kent.

- Przynieść wam coś do picia? - uprzejmie spytał Gary.

- Nie, dziękujemy. Właśnie zamierzałem iść do baru - odparł Marcus i wstał. - Oszczędzaj kasę, bo jutro będziesz splukany - dodał z uśmiechem, a Gary zerknął na Jo. Siadając obok Pru, cicho zachichotał i mrugnął porozumiewawczo do Marcusa.

Jo nie miała pojęcia, o co im chodzi. Cokolwiek jednak było powodem tych niedomówień, wzmogło jej skrepowanie, które odczuwała niemal od chwili, gdy tu weszła. Nagle zapragnęła porozmawiać z Pru. Chciała powiedzieć, że przestało się jej tu podobać i chyba wkrótce pojedzie do domu.

Lecz Pru dobrze się bawiła w towarzystwie Gary'ego. Oboje właśnie tańczyli, a lekko schrypnięty głos Barry'ego White'a wprawiał wszystkich w zmysłowy nastrój.

Marcus wrócił do stolika, postawił na nim tacę z napojami i bez słowa pociągnął Jo na parkiet. Natychmiast zamknął ją w uścisku swych ramion i zaczął wargami pieścić jej szyję i ucho. Była zadowolona z faktu, że w przyćmionym świetle nie sposób rozpoznać żadnej z przytulonych par. Liczyła na to, że nikt nie zwróci uwagi na nią i Marcusa.

On niestety także się zorientował, że mrok sporo kryje, i poczynął sobie coraz śmielej. Jego ręce najpierw błądziły tylko po plecach Jo, szybko jednak przesunęły się na jej biodra, a potem na pośladki. Spróbowała się odsunąć, lecz on mocniej ją przycisnął, a twardość, którą poczuła, nie pozostawiała wątpliwości co do jego podniecenia.

- Wiesz co? - zamruczał z ustami tuż przy jej uchu. - Chyba nie ma sensu, żebyś później zapraszała mnie na kawę do domu pełnego bachorów. Może pojedziemy do mnie?

- To nie jest dobry pomysł - odparła chłodno.

- Och, zamierzasz grać rolę trudnej do zdobycia. To mi się nawet podoba. Uwielbiam, gdy kobieta stawia opór. Bardzo mnie to ekscytuje. - Znów musnął ustami jej szyję.

- Źle mnie zrozumiałeś, Marcus. Nie udaję trudnej do zdobycia. Po prostu mówię „nie”.

- Sopelek lodu? Jeszcze lepiej...

Niespodziewanie sięgnął do jej piersi i przez cieniutką tkaninę sukienki palcami ścisnął skórę. Jego zuchwałość i brutalność sprawiły, że Jo głośno wciągnęła powietrze.

- Nie zaprzeczysz, że ci się to nie podoba - powiedział.

Nie zdążył zareagować, gdy błyskawicznie wyrwała się z jego objęć, uniknęła do stolika, chwyciła torebkę i przez falujący tłum przedarła się do wyjścia. Nie miała pojęcia, czy Marcus ją goni ani czy ją woła. Wiedziała tylko, że musi uciec od niego jak najszybciej.

Właśnie pośpiesznie wkładała w holu zakiet, gdy nagle pojawiła się Pru.

- Jo, co się stało?

- Wracam do domu.

- Zawiozę cię - oświadczyła Pru bez wahania.

- Wykluczone. Nie zamierzam cię stąd wyciągać. Wezwę taksówkę.

- Wcale nie musisz mnie wyciągać. - Pru ściągnęła perukę. - Chodź, mój samochód stoi na parkingu. I nie martw się; przez cały wieczór piłam tylko wodę mineralną.

Pośpiesznie opuścili klub i ku uldze Jo nie natknęły się na Marcusa.

- Przepraszam cię, Pru - mruknęła, wsiadając do auta.

- Nie ma za co. Rozumiem, że Marcus dał ci się we znaki?

- Coś w tym stylu. Zapłacił za mój bilet, więc uznał, że nabył także prawo do mojej osoby i może robić, co chce.

- To do niego podobne. - Pru wyjechała na ulicę. - Marcus zawsze tak działa. Prawdę mówiąc, spodziewałam się tego, dlatego trzymałam się w pobliżu. Uznałam, że pewnie chętnie się ewakuujesz.

- Przewidziałeś to? - Jo ze zdumieniem spojrzała na Pru.

- Mam to za sobą, więc wiem, co i jak.

- Do ciebie też się kiedyś dobierał?
- Tak - przyznała cicho Pru. Właśnie dojeżdżały do głównej arterii Queensbury.
- Nie wiedziałam. Szkoda, że mi nie powiedziałaś.
- Jakoś nie mogłam. Próbowałam cię ostrzec, ale bałam się, że uznasz mnie za zazdrosną i zgorzkniałą. Poza tym to było dawno temu.
- Mówisz, że potraktował cię tak jak mnie?
- Cóż, wyglądało to nieco gorzej. Nie wykazałam tyle rozsądku co ty. I z przykrością muszę przyznać, że bardzo cierpiałam.
- Och, Pru, tak mi przykro. - Umilkła, ponieważ Pru właśnie zjeżdżała z wielkiego ronda na szosę prowadzącą za miasto. - Przypuszczam, że nie byliśmy jedyne?
- O, nie! Marcus to pracowity łowca.
- Boże drogi. Znając jego opinię, wszyscy pewnie patrzyli na mnie jak na kolejną potencjalną ofiarę.
- Ale nią nie zostałam. - Pru zaśmiała się z satysfakcją. - Wkrótce rozejdzie się wieść, że porzuciłaś go na środku sali. Niewiele dziewczyn tak potraktowało Marcusa.
- A o co chodziło z Garym Kentem?
- O zakład.
- O zakład? - zdumiała się Jo.
- Tak. Marcus się założył, że jeszcze dziś się z tobą prześpi. Oni zawsze tak robią.
- Do licha, co on sobie wyobraża? - parsknęła Jo gniewnie. - Że jest ósmym cudem świata?
- Prawdopodobnie właśnie tak sądzi. - Pru skrzyła w aleję Mowbery. - Uważa, że żadna mu się nie oprze.
- Ty jednak całkiem dobrze bawiłaś się z Garym.

- Właściwie tak sobie. - Pru wzruszyła ramionami. - Gary to sympatyczny facet, ale pod względem stosunku do kobiet i ich zaliczania przypomina Marcusa. Wiesz, Jo, dochodzę do wniosku, że wszyscy mężczyźni są tacy sami. Chyba zgodzisz się ze mną po swoim ostatnim związku z... jak miał na imię?

- Simon.

- Z Simonem. Najpierw on, teraz to... - Pru zwolniła, przysunęła nos do szyby i spojrzała na ulicę. - Który to dom? Ten duży?

Zatrzymała auto przed samym Chilterns. W holu paliło się światło, wyraźnie rozjaśniając kolorowe witrażowe okienko nad drzwiami.

- Lewis jest inny - oświadczyła Jo.

- Lewis Gregson? Skąd wiesz?

- Po prostu wiem.

Przez chwilę obie milczały. Pru chyba czekała, aż Jo powie coś jeszcze.

- Nigdy nie próbował wykorzystać sytuacji - wyznała w końcu Jo - a było wiele okazji. Strach pomyśleć, co w takich okolicznościach uczyniłby Marcus.

- O jakich okolicznościach mówisz?

- Cóż... - Jo westchnęła. - Mieszkamy pod jednym dachem, razem, chodzimy po zakupy, gotujemy, jemy, zajmujemy się dziećmi. Na przykład dziś rano...

- Co takiego się stało dziś rano?

- Dzieci przyniosły mi śniadanie do łóżka. Podobno w soboty, kiedy tata jest w domu, zawsze robią mamie taką niespodziankę. Dzisiaj chciały udawać, że jestem ich mamą i skłoniły Lewisa do pomocy.

- To znaczy, że razem z nim obudziły cię rano, żeby podać ci śniadanie? A może na tacy leżała też czerwona róża? - W głosie Pru zabrzmiała nutka rozbawienia.

- No... niezupełnie. W słoiku po dżemie stał mały dzwoneczek.

- I co było dalej? - Pru zachichotała rozbawiona i rozsiadła się wygodniej.

- Jak to, co było dalej? - Jo zaczęła żałować, że rozpoczęła tę rozmowę. Czowała, że jej relacja może zostać błędnie zrozumiana.

- Skoro udawały, że jesteście ich mamą, to chyba chwilowo uważały Lewisa za swojego tatę.

- Cóż, w pewnym sensie... tak.

- W ten sposób ty i Lewis staliście się parą.

- Och, daj spokój, Pru - ze śmiechem zaprotestowała Jo.

- Czy to aż takie nieprawdopodobne? Przecież najwyraźniej coś takiego chodzi ci po głowie.

- Co przez to rozumiesz?

- Dobrze wiesz. Kiedy właśnie miałam zamiar wrzucić wszystkich mężczyzn wraz z Marcusem do jednego worka, ty zaczęłaś bronić Lewisa. To daje dużo do myślenia, nie sądzisz?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gdy weszła do domu, Lewis siedział w salonie. Na jej widok wyłączył telewizor.

- Cześć. Myślałem, że wrócisz dużo później.

- Byłam zmęczona. - Usiłowała mówić lekkim tonem, ale ze zdumieniem skonstatowała, że czuje przemożną ulgę. Nie chciała, by Lewis poznał prawdziwy powód jej powrotu o tak wczesnej porze. Mogła wszystko powiedzieć Pru, ale Lewis to co innego. Mógłby mocno zaszkodzić Marcusowi, gdyby dowiedział się o jego zachowaniu.

- Źle się bawiłaś? - Oczy Lewisa leciutko się zwęziły.

- Średnio.

- A gdzie jest Jacobs? - Spojrzał na drzwi, jak gdyby spodziewał się go tam zobaczyć. - Nie odwiózł cię?

- Nie. Pru mnie podrzuciła.

- Pru? - Lewis zmarszczył brwi. - Dlaczego nie Jacobs? Za dużo wypił?
W odpowiedzi lekko wzruszyła ramionami. Niech Lewis wierzy, w co chce. Było to o wiele łatwiejsze niż mówienie o tym, co zaszło.

- Na górze cisza? - spytała.

- Tak.

- No to chyba lepiej pójdę spać, ponieważ ten spokój może nie trwać wiecznie.

- Aha, jest jeszcze coś. Zaraz po twoim telefonie zadzwoniła Becky. Podobno nowa terapia przynosi doskonałe rezultaty. David czuje się lepiej.

- To cudownie.

- Jeśli jego stan będzie się poprawiał i nie wystąpią żadne komplikacje, to w ciągu najbliższych dni go przewiozą.

- Dokąd? - Jo zatrzymała się z ręką na klawiszu.

- Przetransportują go samolotem do Anglii.

- Wspaniale - odparła słabym głosem.

- Wtedy Becky wróci do domu. Nawet gdyby David musiał zostać w szpitalu w Londynie, będzie mogła tam jeździć. To oznacza, że nasza misja się skończy.

- Oczywiście. - Niewątpliwie powinna się ucieszyć z tej perspektywy, poczuć radość lub przynajmniej ulgę. Dlaczego więc ogarnęło ją przygnębienie?

Wyszła do holu i zaczęła powoli wchodzić po schodach. Nagle na dłoni, którą przesuwała po poręczy, poczuła rękę Lewisa. Przystanęła i spojrzała na niego.

- Bez ciebie nie dałbym sobie rady, Jo.

- Przecież szło ci doskonale, zanim się zjawiałam.

- Możliwe, ale musiałbym na pewien czas zrezygnować z pracy. Byłem u kresu wytrzymałości.

Muśnięcie jego ciepłych palców sprawiło jej przyjemność. Było zupełnie inne niż dotyk ręki Marcusa.

- Zawsze będę ci wdzięczny - dodał. Wdzięczny, powtórzyła w myśli.

Tylko tyle.

- Dobranoc, Jo.

- Dobranoc, Lewis.

Lewis jest jej wdzięczny. Czego innego mogła oczekiwać? Oczywiście, że niczego. Był tylko jej pracodawcą.

A co sugerowała Pru?

Uczepiła się faktu, że ona, Jo, zaczęła bronić Lewisa. Ale przecież nie można porównywać go z kimś pokroju Simona lub wstrętnego Marcusa Jacobsa. Tacy jak oni nie mają nic wspólnego z człowiekiem, którego obserwowała podczas operacji lub tutaj, gdy zajmował się dziećmi.

Wciąż trudno jej było uwierzyć, że tak bardzo pomyliła się w ocenie Marcusa. Zadrzała na myśl o tym, co ją niedawno spotkało. Całe szczęście, że nie wróciła z Marcusem lub - co gorsza - nie dała się zaprosić do niego.

Szkoda, że pierwsza randka po zerwaniu z Simonem okazała się totalną klęską. Po takim doświadczeniu trudno uwierzyć w siebie.

Leżąc w ciemnościach, ciężko westchnęła. Jak Marcus ją nazwał? Soplem lodu? A jeśli jest w tym określeniu trochę prawdy? Może w rezultacie zdrady Simona stała się oziębła? Cóż za okropna perspektywa. Ale przedtem nigdy nie była nadmiernie chłodna, więc może gdyby spotkała odpowiedniego mężczyznę... Tylko gdzie go szukać? I czy kiedykolwiek zdołałaby mu zaufać?

Przewróciła się na drugi bok. Naprawdę powinna trochę się przespać. Nie wiadomo, czy wkrótce nie zbudzi się Jamie.

Ale sen nie przychodził, zaczęła więc myśleć o ewentualnym powrocie gospodarzy. Gdy się tu zjawią, skończy się to dziwne interludium w jej życiu. Ona przeniesie się z powrotem do swej kawalerki, Lewis - do swego mieszkania, dzieci znów przywykną do obecności rodziców i wszystko wróci do normy.

Czy nie tego chciała? Czy nie wahała się, przyjmując tę pracę? A więc teraz powinna się cieszyć. Tyle tylko, że zdażyła przywiązać się do dzieci. Bardzo je polubiła - poważnego Alistaira, psotną Francescę i rozkosznego Jamiego. Wiedziała, że będzie za nimi strasznie tęsknić.

A czy przypadkiem nie będzie jej brakować także ich wujka? Tej zażyłości, która się między nimi wytworzyła? Oczywiście, że tak. Nie miała wątpliwości.

Na szczęście będzie go widywać w pracy. Poweselała na tę myśl i nawet nie wiedząc kiedy, zasnęła.

Dużo by dała, by w poniedziałek rano nie spotkać Marcusa. Co innego zostawić go na randce, a co innego stać naprzeciw niego podczas operacji i spokojnie pracować, jak gdyby nic się nie stało.

Miała cichą nadzieję, że tego dnia będzie dyżurował ktoś inny. Ale jedno spojrzenie na listę potwierdziło jej obawy: dzisiaj operował doktor Hughes, a asystował mu Marcus.

- Nie pozwól mu się zdołować - przyciszonym głosem powiedziała Pru, gdy obie szorowały ręce.

- Łatwo powiedzieć - mruknęła Jo żałośnie.

- Mało która dziewczyna potrafi dać Marcusowi kosza. Ty to zrobiłaś, więc nie zepsuj wszystkiego, okazując jakieś rozterki. Warto przytrzeć mu nosa.

Jednak obawy Jo okazały się nieuzasadnione. Marcus nie próbował jej dręczyć. Przeciwnie - całkowicie zignorował jej obecność.

Pierwszym pacjentem był malutki chłopczyk z wrodzoną nieprawidłowością budowy napletka, co po pewnym czasie doprowadziło do infekcji. Należało wykonać zabieg obrzezania.

- Gotowe, Lewis? - spytał doktor Hughes.

- Prawie. Jeszcze zastrzyk znieczulający.

- Doskonale. - Hughes odwrócił się do Jo. - Siostro, proszę przygotować pole operacyjne.

Jo zdezynfekowała narządy płciowe dziecka i osłoniła małego pacjenta chirurgicznymi chustami.

- Rozumiem, że w sobotę wszyscy bawiliście się w klubie? - spytał Hughes. Odpowiedziały mu pomruki i skinienia głów. Jo starała się omijać wzrokiem Marcusa. - Było przyjemnie?

Rozległo się jeszcze więcej pomruków.

- A nazajutrz niektórzy pewnie leczyli kaca - ciągnął chirurg. - Wiem, jak to bywa. Dawniej chadzałem na takie imprezy, ale teraz wolę żeglowanie.

- Jak wam się pływało? - spytał Lewis, kontrolując oddech dziecka.

- Fantastycznie, chłopie. Warunki były wprost idealne. Szkoda, że nie mogłeś się wybrać.

- Może uda mi się następnym razem.

- Oczywiście, Lewis. Siostrze, skalpel. Teraz zrobimy tu małe nacięcie... O, właśnie. Proszę o diatermię. Te zabiegi zawsze wiążą się z dużym krwawieniem. Powiedz mi, Lewis, jak długo potrwa ta twoja domowa sytuacja?

- Na razie nie wiadomo. Nowa terapia zadziałała i mój szwagier czuje się lepiej. Ale był w bardzo ciężkim stanie, więc trzeba uzbroić się w cierpliwość.

- Niektóre z tych tropikalnych chorób to straszna zaraza - stwierdził chirurg i popatrzył na Marcusa. - Przyjrzyj się, jak rozwiązaliśmy problem tego chłopaczka. Siostrze, proszę założyć szew. To trochę powstrzyma krwotok i będę mógł kontynuować.

Jo pochyliła się, aby wykonać polecenie, a Marcus trochę się cofnął. Ich spojrzenia na moment się spotkały. Ciemne oczy Marcusa były jednak całkiem bez wyrazu. Jo pośpiesznie odwróciła wzrok i spostrzegła, że Lewis na nią patrzy. Niewątpliwie zauważył, że ona i Marcus zerknęli na siebie. Ciekawe, jak Lewis to zinterpretował.

Po zakończeniu zabiegu Jo założyła resztę szwów i opatrunek.

- Gotowe. - Edward Hughes odsunął się i popatrzył na chłopczyka, gdy Jo zdejmowała z niego zielone chusty. - Chłopcu na pewno ulży. Ładny ten mały, prawda?

Dziecko miało jasne włoski i zdaniem Jo uderzająco przypominało Jamiego. Lewis chyba pomyślał tak samo. Jo wyczytała to z jego oczu, gdy znów na siebie spojrzeli. W tej przelotnej chwili porozumieli się bez słów, a Jo natychmiast zrobiło się lżej na sercu.

Mijały dni wypełnione podobnymi zajęciami jak w poprzednim tygodniu. Rano Jo i Lewis zawozili dzieci do Sue i jechali do szpitala. Po południu Jo odbierała dwoje starszych ze szkoły, a Jamiego od niani. Razem wracali do Chilterns, gdzie na Jo czekały kolejne obowiązki.

Wieczorem Lewis zawsze jej pomagał - zarówno przy dzieciach, jak i przygotowywaniu kolacji oraz organizowaniu tego wszystkiego, co zapewniało prawidłowe funkcjonowanie ich pięcioosobowej grupy.

Pewnej nocy Lewisa wezwano na operację, która skończyła się dopiero nad ranem. Podczas jego nieobecności Jamie budził się trzykrotnie. Jo wstawała do niego, ale usypianie niemowlęcia za każdym razem trwało długo, ponieważ Jamie wyjątkowo marudził. Nazajutrz Jo i Lewis byli śmiertelnie zmęczeni. Poruszali się chyba tylko dzięki jakiemuś wewnętrznemu autopilotowi, a wieczorem podpierali się nosami.

- Nie mam pojęcia, jak rodzice przez całe lata dają sobie radę. - Jo właśnie skończyła czytać dzieciom bajki na dobranoc i z westchnieniem ulgi opadła na kanapę.

- Chyba po prostu się przyzwyczajają - odparł Lewis, ziewając.

- Zastanawiam się, skąd Rebecca czerpie energię, żeby na dodatek prowadzić własny biznes.

- Chciałabyś zobaczyć jej prace?

- Bardzo chętnie.

- Chodź, pójdziemy do jej studia.

- Nie miałyby nic przeciwko temu?
- Skądże. Byłoby jej miło, że cię to interesuje.

Studio znajdowało się na odpowiednio zaadaptowanym poddaszu. Zainstalowane w dachu świetliki w ciągu dnia zapewniały dużo światła. W obszernym pomieszczeniu znajdowało się wielkie biurko, sztalugi, deska kreślarska, regały i stoły. Na blatach leżało mnóstwo różnych przyborów rysunkowych i malarskich.

- Becky najbardziej lubi pracować otoczona cudownym nieładem. Podobno nie ma zaufania do pracowni, w której panuje idealny porządek.

- Podoba mi się jej styl. - Jo zafascynowana przyglądała się wiszącym na ścianach szkicom. Przedstawiały głównie obiekty przyrody: ptaki, zwierzęta lub kwiaty. Jo zauważyła też kompozycje malarskie w baśniowym stylu, z wrózkami, smokami i czarownicami. - To połączenie klasyki z odrobiną surrealizmu daje oszałamiający efekt.

- Rebecca to osoba niezwykle utalentowana - z dumą w głosie oświadczył Lewis.

- Masz jej fotografię? - Jo nagle zapragnęła zobaczyć kobietę, w domu której mieszka i której dziećmi się opiekuje.

- Na dole jest kilka albumów. Zaraz poszukam.

- A ja przygotuję gorącą czekoladę.

Oboje po cichu zeszli na dół. Dziesięć minut później Jo wniosła do salonu tacę z dwoma kubkami parującego napoju. Postawiła ją na stoliku i usiadła na kanapie obok Lewisa, który miał na kolanach otwarty album.

- To jest Becky. Zdjęcie pochodzi sprzed paru lat, ale ona prawie się nie zmienia.

Jo spojrzała na uśmiechniętą młodą brunetkę z błyszczącymi, ciemnymi oczami i rozwianymi przez wiatr włosami. Tło stanowił ogród na tyłach Chilterns.

- Nie jesteście ani trochę podobni.

- Becky to wykapana matka. - Lewis przewrócił kilka kartek. - Patrz, to ona. A tutaj stoi z moim ojcem.

- Bardzo go przypominasz - cicho stwierdziła Jo, patrząc na poważnego mężczyznę w mundurze lotnika.

- Chyba tak.

- W jakim wieku byliście, gdy umarli? - spytała po chwili milczenia, odwracając się nieco w stronę Lewisa.

- Miałem siedemnaście lat, a Becky prawie piętnaście.

- To musiało być dla was straszne... Co się stało?

Jeszcze miesiąc temu nie zadałaby Lewisowi takiego osobistego pytania, podobnie jak nie przypuszczałyby, że późnym wieczorem będzie siedzieć obok niego i przeglądać albumy z jego rodzinnymi fotografiami.

- Zginęli w wypadku drogowym podczas urlopu nad jeziorami. Na zakręcie kierowca ciężarówki stracił nad nią panowanie i nastąpiło czołowe zderzenie. Moja matka zginęła na miejscu, ojciec zmarł w szpitalu.

- A ty i Rebecca? Mieszkaliście sami?

- Nie, z babcią i dziadkiem. Później zrobiłem dyplom, a Becky kończyła akademię sztuk pięknych. Wtedy przez pewien czas mieszkaliśmy we dwójkę. Gdy Becky wyszła za Davida, wynająłem sobie nieduże mieszkanie. Nadal je zajmuję, a Becky marzy o tym, że pewnego dnia założę wreszcie własną rodzinę.

- Ty też o tym marzysz? - spytała cicho. Lewis westchnął.

- Kiedyś rzeczywiście tego pragnąłem, ale po zerwaniu zaręczyn spojrzałem na te sprawy innym okiem. Czasem wątpię, czy kiedykolwiek z kimś się związę.

Gorycz w jego głosie dobitnie świadczyła o tym, jak bardzo został zraniony. Jo sięgnęła po kubek i podała go Lewisowi. Następnie wzięła drugi i zaczęła popijać czekoladę.

Przez pewien czas oglądali fotografie, a Lewis opowiadał o uwiecznionych na nich miłych wydarzeniach. W pokoju panowało przyjemne ciepło, a kanapa była wyjątkowo wygodna, co sprzyjało relaksowi. Trochę się odprężyli, lecz skumulowane znużenie niepostrzeżenie wzięło nad nimi górę.

Gdy później otworzyła oczy, ujrzała Alistaira, który ciągnął ją za rękaw. Lewis z albumem na kolanach spał obok niej, a ona skonstatowała, że opiera głowę o jego ramię.

- Alistair! Coś się stało? Czy Jamie płacze?

- Nie, ale Francesce chyba śniło się coś okropnego.

W tej chwili Lewis także się obudził, a Jo zdołała podnieść się z kanapy.

- To Francesca - mruknęła do niego. - Miała zły sen. Pójdę do niej.

Ruszyła za Alistairem. Usiłowała nie zwracać uwagi na ścierpniętą łydkę i zawrót głowy będący rezultatem zbyt pośpiesznego wstawania. Na wpół przytomny Lewis powłókł się za nimi.

Francesca sztywno siedziała na łóżku, wpatrzona w jakiś niewidzialny punkt i szlochała, głośno wciągając powietrze otwartymi ustami. Jo usiadła obok dziewczynki i przytuliła ją do siebie.

- Już dobrze - zamruczała uspokajająco i delikatnie odgarnęła z czoła Franceski wilgotne loki. - Już dobrze. Jesteś bezpieczna.

- Mamusiu! Mamusiu! - zawołała dziewczynka. Jednocześnie przywarła do Jo i objęła ją za szyję.

Przez chwilę głaskała Francescę po plecach, a dziewczynka, której serce biło jak szalone, stopniowo się uspokajała.

Gdy Jo spojrzała w stronę otwartych drzwi, zobaczyła w nich Lewisa z Alistairem.

- Już wszystko w porządku - zapewniła szeptem.

- Wobec tego ty też wracaj do łóżka, młody człowieku. - Lewis z uśmiechem popatrzył na chłopca. - Zachowałeś się wspaniale, troszcząc się o siostrę. Chodź, odprowadzę cię.

Uścisk Franceski w końcu zelżał, jej powieki sennie opadły i dziewczynka usnęła. Jo delikatnie zdjęła z siebie jej ramionka, położyła ją na prześcieradle i starannie okryła kołdrą. Przez moment patrzyła na uśpioną Francescę, po czym schyliła się i leciutko pocałowała ją w policzek.

Przebywała z tymi dziećmi od niedawna, ale już zdążyła przywiązać się do nich. Bardzo je polubiła i niepokoiła ją perspektywa rychłego rozstania z nimi. Nie miała pojęcia, jak da sobie radę z tęsknotą za tą trójką.

Na palcach wyszła z sypialni i natknęła się na Lewisa. Czekał na nią w korytarzu. Spytał o Francescę i powiedział, że Alistair też już śpi.

- A skoro mowa o spaniu - dodał - to nam też należy się trochę snu.

- Która godzina?

- Druga trzydzieści.

- Strasznie późno - przyznała. - Ani się obejrzymy, jak będzie trzeba wstawać i jechać do pracy.

Przez długą chwilę patrzyli na siebie, po czym Lewis lekko dotknął ustami jej warg. Pocałunek był tak subtelny, że Jo zastanawiała się później, czy naprawdę się wydarzył. Może go sobie tylko wyobraziła?

Przez kilka kolejnych dni po sobotniej zabawie w klubie Jo pozostawała w błogiej nieświadomości co do krążących po oddziale plotek.

W końcu zorientowała się jednak, że na jej widok ludzie dziwnie się uśmiechają i wymieniają znaczące spojrzenia. Najpierw sądziła, że się myli, ponieważ jest przewrażliwiona, później miała nadzieję, że wkrótce przestanie być obiektem tego zainteresowania. Tak się jednak nie stało; przeciwnie, sytuacja jeszcze się pogorszyła. Dlatego Jo postanowiła pociągnąć Pru za język.

- Nie wiem, o co chodzi - oświadczyła Pru, ale jej mina mówiła coś innego.

- Proszę cię, Pru, powiedz mi, co się dzieje, żebym mogła jakoś zadziałać.

- Och, to tylko głupie plotki. - Pru była wyraźnie zmieszana. - Nawet próbowałam sama coś wyjaśniać, ale wiesz, jacy są ludzie. Uwielbiają smaczne kąski.

- Ciekawe, w co teraz wbili zęby - mruknęła Jo. Pru wciąż unikała jej wzroku, więc Jo zmierzyła ją badawczym spojrzeniem. - Czy to ma jakiś związek z faktem, że mieszkam z Lewisem?

- Częściowo tak... - bąknęła Pru.

- Tylko częściowo! Na miłość boską, powiedz, czego dotyczy reszta? Pracuję tu od niedawna i nie dałam nikomu żadnych powodów do plotek. Nie mam też czasu, żeby gdziekolwiek chodzić. Byłam tylko... - Nagle rozjaśniło się jej w głowie. - Czy to ma coś wspólnego z Marcusem?

- Chyba od tego się zaczęło - przyznała Pru. - Ale najlepiej będzie, jeśli zignorujesz tę sprawę.

- Chcę wiedzieć, co on rozpowiada.

- Nie, wcale nie chcesz.

- Pru, jeśli ty mi nie powiesz, spytam kogoś innego.

- No dobrze. - Pru ciężko westchnęła. - Ale pamiętaj, że cię ostrzegałam.

Pretekstem stał się ten bal w klubie...

- Tyle sama się domyśliłam - ponuro stwierdziła Jo. - A co plecie Marcus?

- Najpierw powiedział, że Gary przegrał zakład...

- Co?!

- Uprzedzałam, że to ci się nie spodoba. Powiedział, że... że chętnie poszłaś z nim do łóżka.

Jo głośno wciągnęła powietrze.

- Jak więc tłumaczy fakt, że od tamtego wieczoru w ogóle z sobą nie rozmawiamy?

- Cóż, mówiłam ci, że jest jeszcze coś, prawda? Powiedział również, że dopiero po spędzonej z tobą nocy zorientował się, z kim ma do czynienia. Dowiedział się bowiem, że mieszkasz z Gregsonem i nazwał cię dziwką.

Przykro mi, Jo. - Pru bezradnie rozłożyła ręce, a Jo wpatrywała się w nią, oszołomiona tymi rewelacjami. - Teraz to już wszystko. Wierz mi, że starałam się ciebie bronić. Ilekroć słyszałam, jak ktoś o tym rozmawia, zapewniałam, że to wysrane z palca bzdury.

- Ale twierdzisz, że ludzie wolą w nie wierzyć? - Przeważenie Jo rosło.

- Nie jestem pewna, czy wierzą w przechwałki Marcusa. Cały problem polega na tym, że rzeczywiście mieszkasz pod jednym dachem z Lewisem.

- Przecież tylko dla niego pracuję!

- Obie to wiemy. Spróbuj jednak przekonać ludzi, że to, w co chcą wierzyć, nie jest prawdą. Marcus dostarczył im pożywki, a oni dośpiewali sobie resztę. I nic na to nie poradzisz.

- Więc co mam robić?

- Nic. Po prostu przeczekaj to wszystko. Takie sensacje mają krótki żywot. Poza tym podobno niedługo wracasz do siebie?

- Tak, matka dzieci przyjeżdża za parę dni.

- Doskonale. Znikną powody do obgadywania. - Pru trochę się rozpogodziła. - A tak na marginesie, czy to nie ty twierdziłaś, że guzik cię obchodzi opinia innych?

- Owszem, ja - mruknęła Jo.

- No to czym się zadręczasz? Zobaczysz, wkrótce cała sprawa pójdzie w zapomnienie.

To prawda, pomyślała Jo, gdy wraz z Pru wracała na oddział. Zazwyczaj nie przejmowała się tym, co sobie pomyślą inni. Dlaczego więc teraz tak się zdenerwowała? Cóż, znała odpowiedź na to pytanie. Martwiła się tym, co sobie pomyśli Lewis. Oczywiście nie chodzi o interpretację faktu, że mieszkają razem. Z plotek na ten temat oboje mogą się tylko pośmiać. Ale co będzie, jeśli Lewis usłyszy od kogoś, że ona spała z Marcusem? I, co gorsza, w to uwierzy?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Della Latham?

- To ja. - Wysoka, smukła młoda kobieta z sięgającymi do ramion włosami w kolorze miodu odłożyła ilustrowane czasopismo i wstała.

- Proszę za mną. - Jo zaprowadziła ją na oddział i zatrzymała się przy pierwszym łóżku. - Zechce pani przebrać się w tę szpitalną koszulkę i swój szlafrok. Za kilka minut wrócę, żeby uzupełnić dane. Później przyjdzie do pani lekarz i anestezjolog. - Zerknęła na trzymaną w ręce listę. - Zgłosiła się pani na zabieg usunięcia z nogi torbieli?

- Tak. - Della skinęła głową. - Kto będzie moim anestezjologiem? - spytała, zanim Jo zdążyła odejść.

- O ile wiem, doktor Gregson.

- Lewis Gregson?

- Tak. Zna go pani?

- Bardzo dobrze, i to od dawna - z uśmiechem oświadczyła blondynka.

Jo nie miała czasu na analizowanie tej informacji, ponieważ pojawiła się Janet Luscombe i Jo pośpiesznie udała się do kolejnego pacjenta. Przypomniała sobie tę wymianę zdań dopiero później. Właśnie zanotowała dane dotyczące Delli Latham, gdy zjawił się Lewis.

Della siedziała na łóżku. Słyszając szelest zasłonki, odwróciła się i spojrzała na anestezjologa.

- Witaj, Lewis - powiedziała słodko.

Zatrzymał się raptownie, a na jego twarzy odmalowało się zdumienie lub nawet szok.

- Della! Co za niespodzianka! Nie miałem pojęcia, że to ty.

- Skąd mogłeś wiedzieć, że nazywam się Latham. - Zaśmiała się krótko. - Chyba nie poznałeś Philipa, prawda?

- Nie. Jak tam życie małżeńskie?

- Już zapomniałam, jak wygląda. Rozwiodłam się dwa lata temu. -
Wzruszyła ramionami. - A co u ciebie? - spytała ciekawie. - Pewnie jesteś
żonaty i masz dwójkę dzieci?

- Nic z tych rzeczy - oświadczył krótko. Najwyraźniej zdołał się
opanować i zmienił temat. - Podobno masz do usunięcia torbiel. Mogę ją
zobaczyć?

- Oczywiście. - Della podciągnęła szpitalną koszulkę i odkryła dość duży
guzek na lewym udzie. - Paskudztwo, prawda? Chcę się tego pozbyć jak
najszybciej - dodała, nie odrywając wzroku od twarzy Lewisa.

- To zrozumiałe. - Lewis skinął głową. - Doktor Hughes i ja doszliśmy do
wniosku, że w tym przypadku nie podamy narkozy. Wystarczy miejscowe
znieczulenie.

- Ale nie będę nic czuć? - Oczy Delli lekko się rozszerzyły.

- Zupełnie nic - zapewnił Lewis. - Możesz mi zaufać.

- Och, to akurat wiem - odparła ze śmiechem.

Jo wypełniła kartę i wraz z Lewisem opuściła zajmowane przez Dellę
miejsce za zasłonką.

- Podobno jesteście starymi znajomymi - powiedziała, gdy oboje znaleźli
się poza zasięgiem słuchu.

- Owszem. Wychowaliśmy się w tym samym mieście i chodziliśmy razem
do szkoły.

- Naprawdę? - Jo ze zdziwieniem stwierdziła, że czuje ukłucie zazdrości,
ponieważ ta kobieta prawdopodobnie wie o Lewisie więcej, niż ona. Znała go od
dziecka, bawiła się z nim, widziała, jak dorastał i się zmieniał. Jo nie miała jed-
nak czasu, by o tym wszystkim myśleć, musiała bowiem zabrać się do pracy.
Odprowadziła Dellę na zabieg i później już się z nią nie widziała. Gdy w porze
lunchu zakończyła dyżur, Della odpoczywała na oddziale.

Jo odebrała dzieci i zabrała je do parku, gdzie przez godzinę karmiły kaczki, grały w piłkę i szalały na placu zabaw. W domu okazało się, że Lewis już przyjechał ze szpitala i czekał na nich w otwartych drzwiach.

- Mam dla was nowinę - oznajmił. Jo szybko zerknęła na niego, gdy wziął z jej ramion Jamiego, ale uspokoiła się, widząc jego uśmiech. - Dzwoniła wasza mama. Oboje z tatą przylatują jutro do Anglii.

Dzieci zaczęły podskakiwać i pisać z radości, a Jo z mieszanymi uczuciami patrzyła na Lewisa. Oczywiście cieszyła się, że David Cunningham odzyskuje zdrowie, a Francesca, Alistair i Jamie niedługo znów będą ze swoimi rodzicami. Ale to jednocześnie oznaczało koniec jej obowiązków w Chilterns.

- Nowa terapia okazała się rewelacyjnie skuteczna - ciągnął Lewis, gdy weszli do domu. - Dlatego David nie będzie musiał leżeć w placówce, gdzie leczy się choroby tropikalne, tylko trafi od razu do naszego szpitala.

- To wspaniale.

- Dzięki temu Becky będzie o wiele łatwiej zająć się dziećmi i odwiedzać Davida.

- Sądzisz, że Becky zechce, żebyśmy po jej przyjeździe mieszkali tu jeszcze przez pewien czas? - Jo pchnęła drzwi do kuchni i postawiła ciężką torbę na podłodze.

- Nie wiem. Może przez dzień lub dwa przyda się jej trochę pomocy, ale...

- Lewis ponad główką Jamiego spojrzał na Jo. - Zgodziłabyś się na coś takiego? Przypuszczam, że marzysz o powrocie do ciszy swojego mieszkania.

- Mogę zostać tu trochę dłużej. - Jo wzruszyła ramionami. - Naprawdę.

Odwróciła się i zaczęła wyjmować z torby zakupy, które w drodze do domu zrobiła w supermarkecie. Gdyby miała być szczerą, musiałaby przyznać, że przeraża ją wizja powrotu do ciszy i samotności. Jeszcze nie tak dawno pragnęła tylko tego, lecz teraz, gdy poznała smak ciepła, miłości i radości związanych z życiem rodzinnym, cisza i samotność były ostatnimi rzeczami, których chciała. A najgorsze wydawało się rozstanie z Lewisem. Obawiała się

tego tak bardzo, że wolała nie analizować swych uczuć, by nie rozpoznać prawdy.

- Mamusia wraca - szepnęła Francesca, gdy Jo pochyliła się, aby pocałować ją na dobranoc. Dzisiaj sama kładła dzieci spać, ponieważ Lewisa wezwano do szpitala.

- Wiem, kochanie. Cudownie, że znów będziecie razem.

- Ale ty od nas nie odejdiesz, prawda? - W ciemnych oczach dziewczynki błysnął niepokój.

- W końcu będę musiała,

- Dlaczego? - jęknęła Francesca.

- Ponieważ mam własny dom.

- Ja nie chcę, żebyś odeszła. Zostań! - Francesca mocno objęła ją za szyję.

- I wujek Lew też niech zostanie.

- Przyjdę do ciebie z wizytą - obiecała Jo. - A wujek Lewis na pewno często was odwiedza, prawda?

- Tak. - Francesca cicho chlipnęła. - Ale to nie to samo. Spytaam mamusię, czy możesz z nami zostać.

Alistair także wyraził zastrzeżenia, lecz innego rodzaju.

- Czy tatuś szybko wyzdrowieje? - spytał poważnie, gdy Jo przeczytała mu bajkę.

- Mamy nadzieję, że tak - odparła, ostrożnie dobierając słowa. - Podobno czuje się coraz lepiej.

- Ale nie będzie mógł grać w piłkę nożną?

- Najpierw będzie musiał dobrze odpocząć. To trochę potrwa.

- Tak myślałem - ponuro stwierdził Alistair. - Może wujek Lew ze mną pogra. - Chłopiec trochę się rozchmurzył.

- Z pewnością. I będzie często do was wpadać.

- A ty, Jo? Ty też będziesz do nas przychodzić? - spytał Alistair z takim przejęciem, że Jo poczuła wzruszenie.

- Oczywiście, że tak.

- To dobrze. - Chłopiec wydał westchnienie ulgi i przytulił głowę do poduszki.

Nie miała wątpliwości, że stała się dla tych dzieci kimś ważnym. Ilekroć o tym myślała, robiło się jej ciepło na sercu. Nie była natomiast pewna, czy stała się kimś szczególnym dla Lewisa. Ostatnio często się zastanawiała, jak ułożą się ich stosunki po zakończeniu wspólnie wykonywanego zadania. Może Lewis wkrótce zapomni o spędzonych z nią chwilach i znów będzie ją traktować wyłącznie po koleżeńsku.

Te rozterki towarzyszyły jej przez resztę wieczoru, gdy sprzątała po kolacji i prasowała, a Lewis wciąż nie wracał. W końcu poszła spać, ale długo nie mogła usnąć. Zaczęła bowiem rozpatrywać oszałamiającą, lecz całkiem możliwą ewentualność, o której aż do dziś starała się nie myśleć. Lecz perspektywa rychłego rozstania z Lewisem zmusiła Jo do szczerości wobec samej siebie. I przyznania, że chyba się w nim zakochuje.

Czy istnieje choćby najmniejsza szansa, by odwzajemnił to uczucie? Na to pytanie nie знаła odpowiedzi, ale z całą jasnością zdawała sobie sprawę z tego, co sama czuje.

- Mamusia! Mamusia wróciła! - Uszczęśliwiona Francesca rzuciła się w objęcia wysokiej, ciemnowłosej młodej kobiety, która wysiadła z taksówki przed drzwiami Chilterns. Teraz kucnęła i wyciągnęła ręce do syna, a Alistair po króciutkim wahaniu również podbiegł do niej i ukrył buzię na jej ramieniu.

- O, moje skarby. Jak dobrze znów być z wami. - Rebecca Cunningham jednocześnie śmiała się i płakała. - A Jamie? Gdzie Jamie?

- Tam. - Francesca uwolniła się z uścisku matki i odwróciła do Jo, która trzymała Jamiego na rękach i w milczeniu obserwowała wzruszającą scenę powitania.

Rebecca podniosła się i podeszła do nich.

- Ty pewnie jesteś Jo - powiedziała z serdecznym uśmiechem i wyciągnęła rękę po Jamiego.

- Tak, to ja. - Jo także się uśmiechnęła i podała jej niemowlę.

Znów zmieszały się z sobą uśmiechy i łązy radości, gdy Rebecca przytuliła Jamiego. Cała czwórka weszła do domu. Alistair i Francesca trzymali się tuż obok matki, zagadując ją i ciągnąc za rękawy.

Lewis zapłacił taksówkarzowi i spojrzał na Jo.

- Wchodzimy? - spytał cicho.

Skinęła głową, niepewna, czy w tej chwili może zaufać swemu głosowi.

- Jak David zniósł lot? - spytał Lewis, gdy Rebecca rozpakowała rzeczy i zeszła do kuchni. Jo zaparzyła herbatę, a Francesca ułożyła na talerzu słodkie placuszki.

- Lepiej, niż przypuszczałam. - Rebecca z ulgą usiadła na krześle i zsunęła pantofle. - Oczywiście był bardzo zmęczony, tego należało się spodziewać. Na szczęście już jest na oddziale twojego szpitala i odpoczywa.

- Później go odwiedzę. Wiadomo, jak długo potrwa ta terapia?

- Pięć dni. Potem, o ile wszystko pójdzie dobrze, na rekonwalescencję wróci do domu.

- Zanim tak się stanie, nie będzie ci łatwo. - Lewis wziął od Jo kubek herbaty.

- Jeszcze o tym nie myślałam - z westchnieniem odparła Rebecca. - Przede wszystkim pragnęłam przywieźć Davida do kraju.

- Zastanawialiśmy się, czy chciałabyś, żebyśmy do powrotu Davida zostali tutaj i trochę ci pomagali.

- Tak! Tak! - pisnęła Francesca.

- To bardzo miło z waszej strony, ale nie śmiem dłużej was wykorzystywać. Już i tak tyle dla mnie zrobiliście.

- Nie pleć głupstw. Sami doszliśmy do wniosku, że nadal przyda ci się nasza pomoc. Na parę dni mogę się przenieść do waszej rupieciarni, a ty zajmiesz swoją sypialnię, Becky.

- Najwyraźniej wszystko zostało ustalone - stwierdziła Rebecca.

- Tak! - zawołał Alistair z entuzjazmem, wyrzucając pięść w górę, a Francesca zaczęła podskakiwać raz na prawej, raz na lewej nodze.

- Będę dzwoneczkiem, mamusiu - wyjaśniła podekscytowana. - Prawda, Jo?

- Tak, oczywiście. - Jo skinęła głową i uśmiechnęła się do dziewczynki.

- Chyba muszę nadrobić spore zaległości - przyznała Rebecca, popijając herbatę.

- Tak, mamusiu. Naprawdę spore - z powagą oświadczył Alistair. - Po pierwsze, przyjęli mnie do szkolnej drużyny piłkarskiej. Nie wiedziałaś o tym, prawda?

- Jestem ci bardzo wdzięczna, Jo - rzekła Rebecca. - Chwilowo zrezygnowałaś ze swojego życia, żeby pomóc mojej rodzinie.

Był wieczór. Lewis i Rebecca niedawno wrócili ze szpitala, gdzie odwiedzili Davida. Dzieci już leżały w łóżku, a Lewis opowiadał im bajki na dobranoc. Jo przygotowywała w kuchni spaghetti bolognese na kolację dla dorosłych.

- Szczerze mówiąc, mnie też się to przydało - odparła cicho Jo.

- Naprawdę? - Rebecca spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Na razie pracuję tylko na pół etatu. Rozpaczliwie potrzebowałam dodatkowego zarobku.

- Rzeczywiście musiałaś być zdesperowana, skoro wzięłaś sobie na kark moje stadko - ze śmiechem stwierdziła Rebecca.

- To wspaniałe dzieciaki.

- Ale człowiek ma przy nich pełne ręce roboty. Wiem o tym aż za dobrze.

Obie kobiety przez chwilę milczały, a Jo uświadomiła sobie, że Rebecca uważnie jej się przygląda.

- Lewis mówił, że razem pracujecie - rzekła Rebecca.

- Tak. - Jo skinęła głową. - Chociaż jest pewna różnica między pracą anestezjologa a obowiązkami pielęgniarki.

- Nie zgadzam się z tobą. Moim zdaniem po prostu się uzupełniacie i zależycie od siebie nawzajem.

- Cóż, to tylko jeden punkt widzenia - z uśmiechem odparła Jo. - W najbliższym czasie poszukam sobie jakiegoś zajęcia - dodała. - Nie wyżyję z dyżurów na chirurgii.

- Może znajdzie się coś na innym oddziale - z nadzieją w głosie powiedziała Rebecca.

- Może - zgodziła się Jo.

Wiedziała, że byłoby to dla niej idealnym rozwiązaniem, ale oznaczałoby również ograniczenie kontaktów z Lewisem, a o tym nie chciała nawet myśleć. Już i tak martwiło ją to, że za tydzień nie będą mieszkać razem. Chciała więc widywać Lewisa chociaż podczas zabiegów.

- Czy ty i Lewis spotykaliście się towarzysko, zanim zaczęliście razem pracować?

- Nie. - Jo natychmiast wyczuła, że za wypowiedzianym lekkim tonem pytaniem kryje się ciekawość. - Poznaliśmy się w szpitalu. Przeprowadziłam się do Queensbury całkiem niedawno.

- Lewis niewątpliwie miał bardzo dobre zdanie na twój temat, skoro poprosił cię, żebyś tu zamieszkała.

- Prawdopodobnie kierowała nim desperacja - ze śmiechem stwierdziła Jo. - Można powiedzieć, że los zetknął dwoje zdesperowanych ludzi.

- Chyba się nie doceniasz. Lewis uwielbia te dzieciaki i nie powierzyłby ich byle komu. Musi być pewien, że dana osoba jest równie dobra jak on.

- Lewis rzeczywiście wspaniale sobie z nimi radzi - przyznała Jo.

- Ma wrodzony talent do opieki nad dziećmi. - Rebecca wzięła z drewnianego stojaka butelkę wina i spojrzała na etykietę. - Powinien się ożenić i mieć swój przychówek. Właśnie tak by było, gdyby wszystko dobrze się ułożyło.

- Mówił, że był kiedyś zaręczony... - Jo właściwie nie chciała drażnić tego tematu, zżerała ją jednak chorobliwa ciekawość. Z jaką kobietą zamierzał ożenić się Lewis?

- Tak, ale niestety z niewłaściwą osobą - odparła Rebecca, a Jo natychmiast zauważyła, że ton głosu siostry Lewisa uległ zmianie. Pojawiła się w nim nuta lekceważenia, wręcz wzgardy.

- Wciąż mam nadzieję, że spotka kogoś odpowiedniego, ale... - Rebecca z powątpiewaniem potrząsnęła głową.

- Nie bardzo wierzysz, że tak się stanie? - Jo właśnie miała odcedzić spaghetti, teraz jednak znieruchomiała i spojrzała na Rebecce.

- Bardzo przeżył zdradę narzeczonej. Nawet obawiałam się, że nigdy się nie pozbiera. Oboje znali się od dziecka i Lewis tak bardzo ją kochał... - Rebecca urwała, ponieważ z holu dobiegł je odgłos kroków. - Zmieńmy temat - rzekła pośpiesznie. - Nie chcę, żeby Lewis wiedział, o czym rozmawiałyśmy.

- Oczywiście. - Jo odwróciła się do zlewu. - Twoja praca musi być fascynująca, Rebecco - dodała, gdy Lewis wszedł do kuchni. - Lewis pokazał mi twoje projekty. Chyba nie masz nam tego za złe.

- Skądże.

- Bardzo podoba mi się twój styl.

Rozmowa gładko zeszła na inne tory, lecz myśli Jo krążyły wokół kolejnej informacji o człowieku, którego niewątpliwie kochała.

Nazajutrz Jo jak zwykle przebywała do południa w szpitalu. Właśnie kończyła dyżur, sprząając po ostatnim zabiegu z porannej listy, gdy Lewis powiedział:

- Zamierzam odwiedzić Davida. Pójdiesz ze mną?

- Z przyjemnością, jeśli sądzisz, że to nie okaże się dla niego zbyt męczące.

- Wpadniemy tylko na chwilę. David na pewno ma ochotę cię poznać.

- Jesteście coraz lepszymi kumplami - zauważyła Pru, gdy Lewis wyszedł z sali.

- Co przez to rozumiesz? - Jo wiedziała, że się zarumieniła.

- Wybacz, ale niechcący podsłuchałam. Zamierza z tobą kogoś odwiedzić.

- Tak, swojego szwagra.

- Już wrócił? - Oczy Pru rozszerzyły się ze zdziwienia. Pru przez kilka dni przebywała na urlopie i Jo nie miała kiedy powiedzieć jej o ostatnich wydarzeniach.

- Wczoraj. Jest na oddziale ogólnym.

- Naprawdę? Jeszcze niedawno chyba był bliski śmierci?

- Tak, ale przysłany przez jego firmę lek najwyraźniej działał cuda.

- To znaczy, że siostra Lewisa znów zasiadła przy sterze?

- Spojrzenie Pru stało się bardziej przenikliwe.

- Coś w tym stylu...

- A ty wracasz do siebie?

- Wkrótce.

- Nie od razu?

- Nie. - Jo zawahała się. - Lewis uznał, że warto zostać jeszcze parę dni, żeby trochę pomóc Becky.

- Tak powiedział? - Malujące się w oczach Pru zainteresowanie wzrosło.

- To przecież ma sens. - Jo pośpiesznie zaczęła bronić decyzji Lewisa. - Rebecca musi odwiedzać męża, no i jeszcze jest trójka dzieci...

- Cóż, wiele kobiet ma podobne problemy i marzy o jakiejś pomocy, ale większość musi sama dawać sobie radę. - Pru spostrzegła zakłopotaną minę Jo i parsknęła śmiechem.

- To oczywiście bardzo chwalebnie z waszej strony - dodała. - No i trochę dłużej pomieszkacie razem, ale nie sądzę, żeby ktoś zaczął o tym plotkować. - Puściła do niej oko i wyszła do łazienki, a Jo jeszcze przez chwilę walczyła ze zmieszaniem.

Oparty o stos poduszek mężczyzna wyglądał znacznie starszej niż na swoje trzydzieści osiem lat.

Był wychudzony, miał proste, nieco przerzedzone włosy i bladą, wymizerowaną twarz. Ale spojrzenie, które skierował na stojącą obok Lewisa Jo, okazało się bystre i zaciekawione.

- A więc to pani powinienem podziękować za opiekę nad moją rodziną - powiedział, uśmiechając się z wysiłkiem.

- Skądże znowu - zaprotestowała. - To Lewis zasłużył sobie na podziękowania. Całkowicie panował nad sytuacją, zanim ja się zjawiłam.

- Ale uratowałaś mnie, gdy już gonilem resztkami sił.

- Jestem ogromnie wdzięczny wam obojgu. Moje życie wisiało na włosku i wiem, ile musiała znaczyć dla Becky świadomość, że ktoś dba o dzieci.

- Widzę, że nowe leczenie przynosi doskonałe rezultaty. - Lewis rzucił okiem na kartę Davida.

- O ile można za takie uznać fakt, że już jestem przytomny - stwierdził David sarkastycznie. - Ale słynny lek działa tylko trochę łagodniej niż zaraza, którą lekarze usiłują nim pokonać.

- Przez pewien czas będziesz musiał się oszczędzać - stwierdził Lewis. - Żadnego zarzynania się pracą bez chwili wytchnienia.

- Wiem. - David ciężko westchnął.

- Może będzie to mieć swoje dobre strony - powiedziała Jo.

- Jakoś żadne nie przychodzą mi do głowy - kwaśnym tonem odparł David.

- Przynajmniej będzie pan miał okazję częściej przebywać z rodziną. Wszyscy na pewno się ucieszą.

- Pani zdaniem spędzam z nią za mało czasu? - David odwrócił się, aby na nią spojrzeć, ale ten wysiłek całkiem pozbawił go sił. Znów opadł na poduszki i zamknął oczy.

- Bardzo przepraszam. - Zaczerwieniła się po korzonki włosów. - Nie zamierzałam krytykować. Pomyślałam tylko, że z przyjemnością pójdzie pan na szkolny mecz Alistaira lub baletowy występ Franceski. David otworzył oczy.

- Pojąłem aluzję - zapewnił z bladym uśmiechem.

- Prawdę mówiąc, powiedziałaś to, co my wszyscy myśleliśmy od dawna - oświadczył Lewis, gdy wraz z Jo schodził na parter. - David za często wyjeżdża. Prawie nie widuje Becky ani dzieci. Doszło już do tego, że maluchy bardziej polegały na mnie niż na własnym ojcu.

- Może teraz David dostrzeże nienormalność sytuacji i trochę zmieni tryb życia. Jeśli tego nie zrobi, to za parę lat będzie żałował. Dzieci rosną bardzo szybko i cenne chwile bezpowrotnie odchodzą w przeszłość.

- Święta prawda. Oby David jak najszybciej zrozumiał, że żona i dzieci to coś najważniejszego w jego życiu.

Ciekawe, czy Lewis dojdzie do podobnego wniosku, pomyślała Jo, gdy poszedł do swojego gabinetu. Czy uzna, że najwyższy czas zrzucić ciężar wspomnień o nieudanym narzeczeństwie i znaleźć sobie wartościowego partnera na resztę życia...

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jo i Lewis pozostali u Cunninghamsów jeszcze tydzień. Rebecca dwa razy dziennie odwiedzała Davida, a Jo - tak, jak do tej pory - odbierała Alistaira i Francescę ze szkoły i Jamiego od niani. Wieczorem razem z Lewitem kąpała dzieci i kładła je spać, a później wspólnie szykowali kolację. Jedli ją we trójkę, po przyjeździe Becky ze szpitala.

David czuł się coraz lepiej, toteż w domu panował beztronski nastrój, a Jo z każdym dniem coraz bardziej obawiała się powrotu do swojej szarej egzystencji. Obecnie rzadko przebywała sam na sam z Lewitem, Nie było nawet okazji do tych dziwnych spotkań w środku nocy, ponieważ Rebecca wzięła na siebie nocną opiekę nad Jamiem.

Jo nie miała pojęcia, czy Lewis coś do niej czuje. Wspomnienia szczególnych, spędzonych razem z nim chwil już blakły, a on ani w domu, ani podczas dyżurów nie szukał jej towarzystwa. Była coraz bardziej zrozpaczona.

Może Lewis usłyszał krążące o niej plotki i - co gorsza - uwierzył w nie? Marcus na szczęście trzymał się od niej z daleka, za co była losowi niezmiernie wdzięczna. Nie miała najmniejszej ochoty radzić sobie z kolejnymi rewelacjami na swój temat.

Wreszcie zdarzyło się coś nieuniknionego. Rebecca oznajmiła, że za dwa dni David zostanie wypisany ze szpitala.

- To wspaniale - stwierdził Lewis. - Zobaczysz, Becky, wkrótce całkiem wyzdrowieje.

- Obyś miał rację. - Rebecca westchnęła. - Byłoby cudownie znów mieć go w domu. A wy... - zwróciła się do brata i Jo siedzących przy kuchennym stole - wreszcie będziecie mogli wrócić do normalnego życia. Nie wiem, co bym bez was zrobiła.

- Mamusiu, mamy pomysł!

Ten okrzyk sprawił, że odwrócili się do drzwi. Stał w nich Alistair z Francescą. Dzieci najwyraźniej były bardzo podekscytowane, o czym świadczyły rumieńce Alistaira i błysk w ciemnych oczach Franceski, radośnie zerkającej spod splecionej grzywki.

- Jaki to pomysł? - ze śmiechem spytała Rebecca.

- Uważamy... - uroczyście oświadczył Alistair - że wujek Lew i Jo powinni wziąć ślub.

- Wziąć ślub - powtórzyła za bratem Francesca.

- Naprawdę? - Rebecca z trudem usiłowała zachować powagę. - A dlaczego tak sądzicie?

- Dlatego, że wtedy Jo byłaby naszą ciocią, prawda?

- Tak - przyznała Rebecca.

- Ja tego chcę - powiedziała Francesca - bo wtedy Jo często przychodziłaby do nas z wizytą.

- I tak będę was odwiedzać - pośpiesznie zapewniła Jo. - Już wam mówiłam.

- Ale możesz zapomnieć - odparował Alistair.

- Gdybyś była naszą ciocią, to byś zawsze przychodziła z wujkiem Lew - przekonywała Francesca. - A on przychodzi bardzo często i... i my też do niego chodzimy, a gdybyś wzięła z nim ślub, to mieszkałabyś razem z nim i zawsze byłabyś w jego domu.

- Dlatego ten ślub to dobry pomysł - podsumował przemowę siostry Alistair.

- Przecież udawałam, że oni są naszą mamusią i naszym tatusiem, kiedy ty byłaś daleko mamusiu. Prawda, Jo? - przypomniała Francesca.

- Tak, kochanie. - Jo nagle stwierdziła, że nie jest w stanie spojrzeć na Lewisa ani na Rebeccę.

- Zgadzasz się, Jo? - nalegał Alistair.

Na szczęście Rebecca wybawiła ją z kłopotu.

- To nie takie proste, synku - odparła łagodnie.
- Dlaczego? - Francesca jak zwykle była dociekliwa.
- Zanim dwoje ludzi weźmie ślub, najpierw muszą zakochać się w sobie -
cierpliwie wyjaśniła Rebecca.

- Ach, to... - lekceważąco prychnął Alistair. - To żaden problem.
- Czyżby? - Rebecca uniosła brwi.
- Wujek Lew kocha Jo - oświadczyła Francesca.
- Na pewno ją lubi - rzekła Rebecca. - Tak jak my wszyscy.
- On ją kocha - stanowczo powtórzyła dziewczynka.
- Chyba musi - ponuro dodał Alistair. - Przecież ją pocałował. Trzeba
naprawdę kogoś kochać, żeby chcieć go całować... i przytulać się do niego na
kanapie, w środku nocy.

- Nie miałam o tym pojęcia - powiedziała Rebecca, gdy obie zostały w
kuchni same.

- O czym?

- O tym, że jest coś między tobą a Lewisem. Przyznaję jednak, że bardzo
się cieszę...

- Ależ nas nic nie łączy - oznajmiła Jo drewnianym głosem.

- Nie? A dzieci...? Wiem, że czasem ponosi je wyobraźnia, ale wydawały
się takie pewne...

- To tylko ich pobożne życzenia - zapewniła Jo i zaczęła wkładać brudne
naczynia do zmywarki.

- Mnie też przyszło to do głowy. Alistair i Francesca rzeczywiście o
niczym tak nie marzą jak o waszym ślubie. Ale chyba nie wpadli na ten pomysł
bez powodu. Coś musiało dać im do myślenia...

- Na przykład ten pocałunek? - Jo zaśmiała się z udawanym
rozbawieniem.

- Może...

- Był najzupełniej bez znaczenia. Właśnie zgodziłam się przyjąć tę pracę jako pomoc Lewisa, a on tak się ucieszył, że cmoknął mnie w usta. Po prostu spontanicznie wyraził radość, to wszystko.

- Oczywiście...

- Akurat wtedy Alistair wszedł do pokoju i błędnie zinterpretował to, co zobaczył. Dzieciom często się to zdarza.

- Och, naturalnie - ochoczo przyznała Rebecca. - A ten incydent na kanapie? - spytała niewinnie. - Jak do niego doszło?

- Tego wieczoru oboje byliśmy po prostu wykończeni. Poprzedniej nocy Lewisa wezwano do szpitala, a ja niańczyłam rozkapryszonego Jamiego. Usiedliśmy więc na kanapie...

- Żeby pooglądać telewizję? - podsunęła Rebecca.

- Nie. O ile dobrze pamiętam... - Jo zawahała się, ponieważ wiedziała, jak zabrzmiała jej odpowiedź - Lewis mi chciał pokazać zdjęcia z waszego albumu.

- Naprawdę? - Oczy Rebeki, takie podobne do oczu jej córeczki, zmieniły się w dwie nieprzeniknione głębie.

- Rebecca, nie było tak, jak może się wydawać.

- Jestem pewna, że nie - pośpiesznie zapewniła Rebecca, ale Jo zauważyła błysk rozbawienia w jej oczach.

A kiedy później siostra Lewisa bezlitośnie zażądała relacji o śniadaniu na tacy ozdobionej dzwoneczkiem, Jo zrezygnowała z dalszej obrony.

- Muszę przyznać, Jo, że w tej sprawie popieram moje dzieci - oznajmiła Rebecca w przeddzień powrotu Jo do swojego mieszkania. - Nic nie uszczęśliwiłoby mnie bardziej niż ty i Lewis na ślubnym kobiercu. Naprawdę byłam zrozpaczona, kiedy Della niespodziewanie zostawiła mojego brata na łodzi. Bałam się, że Lewis nigdy się nie pozbiera. Och, wiem, jaki on jest: spokojny, pełen rezerwy, ale gdy lepiej się go pozna...

- Jak ona miała na imię? - przerwała Jo.

- Kto? - Rebecca właśnie składała uprane rzeczy, bieliznę pościelową i ręczniki. Teraz nagle znieruchomiała i spojrzała na Jo.

- Narzeczona Lewisa, ta, która go rzuciła.

- Della. Della Masters.

- Nie Della Latham?

- Nie... - Rebecca zmarszczyła brwi i pokręciła głową. - Ale zaraz, chwileczkę... To może być nazwisko jej męża. Zdradzała Lewisa z jego najlepszym przyjacielem, Johnem Richardsem, ale ten romans nie trwał długo. Później podobno wyszła za mąż za jakiegoś Philipa. Możliwe, że nazywał się Latham. Miał firmę komputerową w Basingstoke. Ale dlaczego pytasz? Znasz Delle Latham?

- Chyba nie. Musiałam po prostu gdzieś zobaczyć to nazwisko - wymijająco odparła Jo. Nie mogła naruszyć tajemnicy szpitalnych danych.

Della Latham powiedziała, że ona i Lewis znają się od dawna, lecz Jo nawet przez moment nie podejrzewała, że właśnie Della jest kobietą, którą kiedyś Lewis pragnął poślubić. Jej podejrzania wzrosły, gdy Rebecca oświadczyła:

- Della znów kontaktuje się z Lewisem. Jo z trudem przełknęła ślinę.

- Naprawdę?

- Tak. Zadzwoiła tutaj do niego i spytała, czy miałby ochotę spotkać się i pogawędzić.

- I umówił się z nią?

- Chyba tak. - Rebecca zamyśliła się na chwilę. - Niewiele o tym mówił. Oby tylko Della znów nie wycięła mu jakiegoś numeru.

- Sądzisz, że to możliwe?

- Och, wierz mi, Della potrafi siać spustoszenie. Pamiętaj, że wychowałyśmy się po sąsiedzku. Wiem także, jak działała na Lewisa. Ale mam nadzieję, że dostał nauczkę, wyciągnął odpowiednie wnioski i nigdy więcej nie da się zwieść jej czarowi.

Jo miała jednak co do tego wątpliwości. Lewis ostatnio był wyjątkowo milczący. Może dlatego, że poszedł na randkę z byłą narzeczoną? I może z tego powodu już nie próbował zbliżyć się do niej, do Jo?

Może spotkanie z Dellą obudziło przykre wspomnienia? Zdaniem Becky zdrada narzeczonej sprawiła, że się załamał. Może nigdy nie zdołał zaleczyć rany w sercu. A może, z bólem pomyślała Jo, Lewis nadal kocha Dellę, a na nią, Jo, nie zwraca uwagi wcale nie z powodu krążących po szpitalu plotek.

Może traktuje ją z dystansem, ponieważ nie chce robić jej żadnych nadziei. Owszem, mieszkali razem, lecz tylko dlatego, że ona tutaj pracowała. A te chwile, gdy wydawali się sobie bliscy, były tylko konsekwencją okoliczności i nic nie znaczyły. Koniec, kropka.

I może zdrada Delli już nie wisi nad nim jak jakieś widmo. Oboje znów są wolni i mogą ponownie ożywić związek, który dawno temu tak raptownie został zerwany.

Tej nocy Jo spała bardzo źle.

W snach prześladował ją wizerunek Lewisa z Dellą, później ścigał ją jakiś demon bez twarzy, który w końcu ją schwytał i okazało się, że to Marcus. Rano obudziła się z bólem głowy, była zmęczona i rozdrażniona. A poczuła się jeszcze gorzej na myśl, że tego dnia wraca do siebie.

- Nie odchodź, Jo - pochlipując jęczała Francesca, gdy Lewis wynosił torby i wkładał je do bagażnika samochodu Jo. - Ani ty, wujku Lew!

- Oni nas wkrótce odwiedzą - zapewniła córeczkę Rebecca. Właśnie usiłowała posadzić Jamiego w samochodowym foteliku i zapiąć jego pasy. Jednocześnie sprawdzała, czy dzieci zabrały wszystko, czego będą w ciągu dnia potrzebować. - A kiedy po południu przyjedziecie do domu, zastaniecie tatusia!

To zapewnienie trochę dzieci pocieszyło, lecz gdy Rebecca odjechała z nimi range-roverem, do tylnej szyby były przyklejone dwie przeraźliwie smutne buzie.

- Oto cena popularności - mruknął Lewis, otwierając drzwiczki auta Jo.

Dławiło ją wzruszenie, więc nie odpowiedziała. Nie była też w stanie spojrzeć Lewisowi w oczy. Po prostu stała zrozpaczona, ściskając kant uchylonych drzwiczek.

- Dzięki - powiedział, kładąc rękę na jej dłoni. - Dzięki za to, że przysłaś mi z pomocą.

- Dzięki za to, że mnie poprosiłeś.

Jej głos zabrzmiał chrapliwie, zupełnie inaczej niż zwykle. Oboje stali naprzeciw siebie, a ona nagle uświadomiła sobie jego bliskość, poczuła ją każdą komórką swego ciała. I zapragnęła, by wziął ją w ramiona i tak, jak kiedyś, dotknął wargami jej ust. Ale nie miało tak się stać. Chwila okazała się ulotna. Trwała tyle co mgnienie oka i Lewis zaraz się odsunął.

- Do zobaczenia w szpitalu - powiedział.

Jego głos także miał dziwne brzmienie. Chyba nawet trochę drżał, jak gdyby to rozstanie napawało go smutkiem. Co zresztą, zdaniem Jo, absolutnie nie mogło być prawdą, ponieważ Lewis bez wątplenia chciał jak najszybciej odzyskać niezależność.

Tego dnia prawie nie miała okazji widzieć się z Lewisem. Zanim się spostrzegła, jej dyżur dobiegł końca.

- Głowę dam, że nie możesz się doczekać wolności - powiedziała Pru, gdy dowiedziała się, że Jo jedzie do swojego mieszkania. - Tylko pomyśl: żadnych pieluch, żadnej dziecięcej paplaniny i zarwanych nocy.

Oraz żadnej radości i śmiechu, w duchu dodała Jo. Żadnych bajek na dobranoc i serdecznych uścisków. Żadnych pogawędek z Lewisem, wspólnych posiłków, zwierzeń i bliskości w środku nocy... Lista zdawała się nie mieć końca.

Było tylko puste, ponure mieszkanie i wieczorem Jo obawiała się, że zwariuje z powodu przeraźliwej ciszy.

- Słyszałaś? - syknęła Pru, szorując obok Jo ręce przed operacją.

- Co? - obojętnie spytała Jo.

Nie obchodziły jej najnowsze plotki ani to, co ktoś komuś zrobił. Wyprowadziła się z domu Cunninghamów trzy dni temu i coraz bardziej cierpiała. Lewisa widywała rzadko, a jeśli natknęła się na niego, traktował ją przyjaźnie i uprzejmie, lecz nic poza tym. W końcu nabrała przekonania, że on znów spotyka się z Dellą.

- Przypuszczam, że to może cię zainteresować - kontynuowała Pru, wkładając dłonie pod strumień wody.

Jo poczuła ukłucie podejrzliwości. Co takiego Pru usłyszała? Czyżby właśnie to, czego ona, Jo, się obawiała?

Czyżby Lewis obwieścił coś ważnego, a ona dowiadywała się o tym ostatnia?

Jo z ukosa zerknęła na koleżankę.

- Jeśli to dotyczy Lewisa, to wolałabym raczej nie...

- Lewisa? - powtórzyła Pru. - O czym ty mówisz?

- O tej nowej ploteczce.

- Wcale nie chodzi o Lewisa. Jedyna plotka, jaką o nim usłyszałam, była rezultatem faktu, że z nim mieszkałaś! - Pru roześmiała się perliście. - Ale teraz wszyscy szepczą o Marcusie.

- Tak? - Jo odetchnęła z ulgą. - Co tym razem zmalował?

- Udławił się dużym kąskiem. Podobno zbyt agresywnie podrywał jedną z nowych sekretarek. Wiesz, co mam na myśli.

- Aż za dobrze.

- Nie miał jednak pojęcia, że ta osóbką jest siostrzenicą Edwarda Hughesa. Utrzymywano to w tajemnicy, ponieważ właśnie nasz stary Eddy załatwił dziewczynie posadę. Ale do rzeczy. Panna okazała się oporna i Marcus ją rzucił. Tak ją to rozjuszyło, że poskarżyła się wujowi. Opowiedziała mu też o zakładach. Sądzę, że nasz Eddy nie był zachwycony tymi rewelacjami na temat Marcusa. Jest przecież jego przełożonym i... - Pru raptownie urwała, ponieważ do łazienki zajrzała Janet Luscombe i kazała im się pośpieszyć.

Pierwszym zabiegiem z porannej listy było podwiązanie pękających żył u kobiety w średnim wieku, która chorowała na chroniczne zapalenie oskrzeli i miała znaczną nadwagę. Od początku nie ulegało wątpliwości, że Lewisa niepokoi oddech pacjentki.

Gdy do sali operacyjnej wszedł Edward Hughes, Jo bezwiednie poszukała wzrokiem Marcusa. Chętnie zobaczyłaby jego spokorniałe, pozbawione arogancji wcielenie.

Ale ku swemu zdumieniu stwierdziła, że chirurgowi towarzyszy inny praktykant - dużo młodszy mężczyzna, którego Jo nigdy przedtem nie widziała.

- To jest Andrew Biggs - przedstawił go doktor Hughes. - Będzie mi asystował dzisiaj i w najbliższej przyszłości.

Jo drgnęła zdumiona i oczy jej oraz Lewisa na moment się spotkały.

- O rany! - szepnęła jej do ucha Pru. - Casanova chyba dostał kopniaka. Może jednak istnieje na tym świecie sprawiedliwość.

Doktor Hughes wyjaśnił, że pacjentka początkowo skarżyła się na obrzęk stóp i kostek, później pojawiła się egzema i owrzodzenie, aż w końcu doszło do pęknięcia nadmiernie rozszerzonych żył.

- Oczywiście byłoby najlepiej, gdyby pacjentka przed zabiegiem zrzuciła trochę wagi - oświadczył lekarz, wykonując małe nacięcie w pachwinie. Jo przysunęła się, aby za pomocą diatermii powstrzymać krwawienie. - Ale nie zdołała tego zrobić, więc uznałem, że mimo to należy ją zoperować. Po twojej stronie wszystko w porządku, Lewis?

- Tak, można kontynuować - odparł Lewis. - To prawda, że przy mniejszej wadze oddychanie byłoby łatwiejsze, ale na razie pacjentka radzi sobie dobrze.

Członkowie zespołu operującego byli bardzo skupieni. Wszyscy sprawnie wykonywali swoje czynności i operacja przebiegała modelowo, lecz nagle włączył się alarm aparatury monitorującej pracę serca.

- Proszę przerwać zabieg - polecił Lewis.

Edward Hughes cofnął się, a zaniepokojona Jo zerknęła na Lewisa, który przejął kontrolę nad zespołem.

- Tętno i ciśnienie krwi spadły - stwierdził Lewis. Poprawił maskę na twarzy pacjentki i zwiększył dopływ tlenu.

Jednocześnie poprosił jedną z pielęgniarek o podanie mu dawki leku stymulującego akcję serca. Następnie spojrzał na Jo. - Siostrze, proszę zahamować krwawienie.

Jo szybko wykonała polecenie. Zebrała krew wacikiem, po czym zastosowała diatermię, a Lewis w tym czasie wprowadził lek do rurki podłączonej do żyły na dłoni pacjentki. Środek wkrótce zadziałał. Lewis zezwolił na kontynuowanie zabiegu i zespół znów przystąpił do pracy.

Tego dnia Edward Hughes nie gawędził bez troski o żeglowaniu ani na żaden inny temat. Kolejne zabiegi odbywały się bez przeszkód, lecz Jo odnosiła wrażenie, że atmosfera w sali operacyjnej staje się coraz bardziej przygnębiająca.

W końcu Jo marzyła już tylko o tym, by jak najszybciej stamtąd się wyrwać. Lewis znajdował się tak blisko, lecz jednocześnie był dla niej nieosiągalny. Odbierała to jak wyrefinowaną torturę. Z przemożną ulgą zakończyła dyżur, ponieważ bała się, że dłużej nie zniesie tej okropnej sytuacji.

Przebrała się w swoją odzież i właśnie wychodziła z szatni, gdy na korytarz wyrzwał Julian Browne.

- Jo, masz wolną chwilę?

- Oczywiście. - Weszła za nim do jego gabinetu, zastanawiając się, czego Julian sobie życzy.

- Podobno ta twoja mała fucha już się skończyła? - Zamknął za nią drzwi i wskazał jej krzesło, aby usiadła.

- Moja... co? - Wpatrywała się w niego zdumiona. - Ach, to! - Pojęła, o czym mówił i parsknęła śmiechem. - Niestety tak - odpowiedziała.

- Niestety? Czyżby ta praca sprawiała ci przyjemność?

- Prawdę mówiąc, tak. A co ważniejsze, przydało mi się trochę dodatkowego grosza.

- Rozumiem. - Julian skinął głową. - Właśnie dlatego cię tu poprosiłem.

- Masz dla mnie więcej godzin? - spytała z nadzieją w głosie.

- Być może. Problem polega na tym, że chodzi o pracę na innym oddziale. Miałabyś ochotę pracować na pediatrii?

- Cóż... - Przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć. Jeszcze kilka dni temu na pewno nie chciały opuścić chirurgii, ponieważ nie widywałyby Lewisa, ale teraz? Może właśnie należy stąd odejść. Zwłaszcza jeśli, jak podejrzewała, on znów spotyka się z Dellą. Zostając tutaj, cierpiałyby męki, będąc blisko niego i jednocześnie wiedząc, wyobrażając sobie...

- Może najpierw powiem ci, o co chodzi. - Julian najwyraźniej opacznie zrozumiał jej wahanie. - Na pediatrii zwolniła się posada starszej pielęgniarki.

- To stopień wyżej ode mnie.

- Wiem, ale siostra Taylor i ja jesteśmy gotowi dać ci odpowiednią rekomendację. Oboje jesteśmy pewni, że dasz sobie radę. Oczywiście wolelibyśmy zatrzymać cię tutaj, ale na razie nie zanosi się na żaden wolny etat. A ty na dodatek lubisz pracować z dziećmi.

- O, tak, nawet bardzo - przyznała, a przed oczami nagle stanął jej wizerunek Alistaira, Franceski i Jamiego.

- Wobec tego... - Julian podniósł się zza biurka - sugeruję, żebyś od razu wzięła z kadr formularz.

- Zrobię to, Julianie. I dziękuję. - Jo przystanąła przy drzwiach i się odwróciła. - Mam jedno pytanie.

- Słucham?

- Dokąd przeniesiono Marcusa Jacobsa?

- Cóż, obawiam się, że nie na pediatrię. - Julian źle zrozumiał przyczynę pytania.

- Gdyby poszedł właśnie tam, nie składałabym podania - odparła lekkim tonem.

Był późny wieczór, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Już dawno w samotności zjadła kolację i wypełniła kwestionariusz. Teraz oglądała dokumentalny film podróżniczy. Przez chwilę miała ochotę nie otwierać, przekonana, że dzwoni domokrażca lub roznosiciel reklamowych ulotek. Wkrótce jednak rozległ się kolejny dzwonek. Zabrzmiał natarczywie, więc z westchnieniem podniosła się z kanapy, przeszła przez obszerny pokój, założyła łańcuch i uchyliła drzwi. Za nimi ujrzała Lewisa.

- Nie bój się, Jo, to tylko ja.

Serce zaczęło jej uderzać niedyskretnie głośno, a zdumienie na moment odebrało głos.

- Lewis - wykrztusiła wreszcie, zdejmując łańcuch i wpuszczając go do mieszkania. - Co za niespodzianka!

Był u niej po raz pierwszy, toteż z zaciekawieniem rozejrzał się wokoło. Zatrzymał wzrok na grubej, białej narzucie, przykrywającej rozkładaną kanapę, na kolorowych reprodukcjach przedstawiających włoskie uliczki, na kwiatkach w doniczkach i w stojących na parapecie skrzynkach, widocznych za poruszaną powiewem wiatru muślinową firanką.

- Ładnie tu - pochwalił, a Jo wiedziała, że nie był to czczy komplement. - Miło się urządzaś.

- Dziękuję. - Popatrzyła na niego pytająco. Zdawała sobie sprawę, że nie przyszedł oglądać jej lokum.

- Przepraszam - powiedział w końcu - że wpadłem bez uprzedzenia, ale chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

Serce ścisnęło się jej boleśnie. Nadeszła chwila prawdy. Lewis zamierza powiedzieć, że znów spotyka się z Dellą, że wkrótce się pobiorą.

Z telewizora za plecami Jo dobiegły dźwięki popularnej reklamy płatków śniadaniowych. Zwyczajne i dobrze znane. Świadczyły o tym, że życie płynie

tak jak zwykle. Czy nikt nie wie o tym, że świat Jo właśnie ma się zawalić? Czy nikogo to nie wzrusza?

- Przyszedłem, ponieważ nie mogę dłużej tego znieść. Wyobrażam sobie, jak musisz się czuć z powodu tych wydarzeń. Dlatego postanowiłem sprawdzić, jak sobie radzisz.

Jo zmarszczyła brwi. Dlaczego Lewis bawi się w te przemowy? Powinien powiedzieć wprost, o co chodzi, i wyjść, by mogła sama zmagać się ze swoim cierpieniem.

- Wiesz, na ogół nie słucham plotek - kontynuował - więc gdy zdarza się coś, czego chyba wszyscy oczekują, mnie całkiem to zdarzenie zaskakuje. Tak jak dzisiaj, gdy Edward Hughes powiedział mi o swojej decyzji.

Jo wpatrywała się w niego z rosnącym zdumieniem.

- Nie rozumiem, Lewis. Co to ma wspólnego z Edwardem Hughesem?

- Przecież on praktycznie go wyrzucił, prawda? Przeniósł go na inny oddział. Sądzę, że nie jesteś z tego zadowolona, a ta afera z siostrzenicą Edwarda to źródło dodatkowego stresu. Naprawdę strasznie mi przykro, Jo.

- Lewis... - odetchnęła głęboko - mnie też jest przykro, ale nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.

Teraz na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

- Mówię o tobie i Marcusie Jacobsie.

- O Marcusie Jacobsie? - powtórzyła. - A ja myślałam, że chcesz mi powiedzieć o sobie i Delli Latham.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Teraz ty mnie zaskoczyłaś. Co ma z tym wspólnego Della?

Jo przez chwilę patrzyła na niego tępo, po czym jej umysł nagle znów zaczął normalnie funkcjonować. Jak mogła wspomnieć o Delli? Jakim prawem wtykała nos w prywatne sprawy Lewisa? Absolutnie nie powinna tego robić. Ale w tej chwili ważniejsze wydawało się coś innego - nieoczekiwana wzmianka o Marcusie i przyczyna wizyty Lewisa.

- Może usiądziemy i omówimy to wszystko po kolei - zaproponowała.

- Dobrze. - Lewis skinął głową. Nadal sprawiał wrażenie nieco oszołomionego. Usiadł w rogu kanapy, a Jo przysiadła na jej brzeжку z drugiej strony. Nieco skrepowana sytuacją, błędziła wzrokiem po ubraniu Lewisa. Miał na sobie wiśniową trykotową koszulę, grube dżinsy i eleganckie skórzane mokasyny. - Od czego zaczniemy?

Poczuła, że wzruszenie ścisną ją za gardło. Tak bardzo kochała Lewisa. Zastanawiała się czy byłaby w stanie przeżyć bez niego resztę życia?

- Ty pierwszy - powiedziała, ledwie panując nad głosem. - Wyjaśnij mi, co cię tu przywiodło i dlaczego wspomniałeś o Marcusie.

- Cóż, dowiedziałem się o tej nieprzyjemnej historii z Marcusem i siostrzenicą Edwarda. Wiem, że Marcus dostał naganę i przeniesiono go na inny oddział.

- Tak, słyszałam o tym.

- Mogę sobie tylko wyobrazić, jak się z tego powodu czujesz. - Spojrzenie, jakim ją obrzucił, było niemal smutne. - Szczególnie że znasz przyczynę tego przeniesienia, może nawet do innego szpitala. Z pewnością bardzo cierpisz, Jo. Strasznie mi przykro. - W jego głosie zabrzmiało autentyczne współczucie. - Wiem, jak to jest, gdy ktoś nas zdradzi, zwłaszcza jeśli wszyscy naokoło widzą, co się dzieje, a my dowiadujemy się o tym jako ostatni...

- Wybacz, Lewis - przerwała mu, zniecierpliwiona rozważaniami, które jej zdaniem nie miały sensu - ale nie rozumiem, dlaczego postępowanie Marcusa lub jego odejście z naszego szpitala miałyby mnie obchodzić.

W pokoju zapadła cisza. Siadając na kanapie, Jo zgasła telewizor, toteż było teraz słychać tylko miarowe tykanie zegara, a panujący w pokoju bezruch przerywało od czasu do czasu delikatne falowanie firanki.

- Czy ty i Marcus nie spotykaliście się ze sobą? - spytał w końcu Lewis, najwyraźniej zaskoczony tym, co przed chwilą usłyszał.

- Nie, Lewis. - Przecząco potrząsnęła głową. - Nigdy nie byliśmy parą.

- A ja sądziłem... - odparł z jeszcze bardziej oszołomioną miną. - Tamten wieczór... ten bal w klubie...

- To była nasza jedyna randka.

- Ale później... przypuszczałem... słyszałem, że...

- Cóż takiego słyszałeś? - spytała z taką goryczą, że w spojrzeniu Lewisa zamigotała troska. - Te plotki? - ciągnęła, nie dając mu szansy na odpowiedź. - Przechwałki Marcusa, który rozповідаł na prawo i lewo, że mnie przeleciał? Że od razu zaciągnął mnie do łóżka i w ten sposób wygrał zakład z Garym Kentem?

- Już ci mówiłem, Jo - rzekł spokojnie Lewis - że nie słucham plotek. Wiedziałem jednak, że wtedy się z nim umówiłaś, a później wydawało mi się, że coś was łączy.

- Zapewniam cię - powiedziała suchym tonem - że gdyby Marcus Jacobs był ostatnim mężczyzną na ziemi, to i tak nic by nas nie łączyło.

- Ale przecież poszłaś z nim na tę zabawę?

- Tak, i wkrótce tego pożałowałam. Na szczęście Pru wybawiła mnie z kłopotu. Marcus kiedyś się do niej też zalecał i natychmiast się zorientowała, co się święci.

- A ja sądziłem, że odwiozła cię do domu, ponieważ Marcus za dużo wypił. Co on ci zrobił? - W głosie Lewisa nieoczekiwanie zabrzmiała zaciekłość, o którą Jo nigdy by go nie podejrzewała.

- Cóż, usiłował mnie uwodzić, ale tylko podczas tańca. Wolę nie myśleć o tym, co by się stało, gdybym przyjęła zaproszenie Marcusa i pojechała z nim do jego mieszkania. Prawdopodobnie musiałabym zmagać się z czymś więcej niż filiżanką kawy.

- Dobrze, że do tego nie doszło.

Przez długą chwilę oboje milczeli. Lewis w duchu analizował fakt, że Jo nie była dziewczyną Marcusa.

- Powiedz mi - odezwał się w końcu, jak gdyby tknięty nagłą myślą - dlaczego wspomniałaś o Delli?

Jo wahała się tylko przez moment. Cóż miała do stracenia? Lewis przyszedł sprawdzić, jak ona się miewa po rzekomej zdradzie Marcusa, ale dotychczasowa sytuacja nie uległa zmianie.

- Wiem, że Della to twoja była narzeczoną.

- Ona ci o tym powiedziała? - spytał ze zdziwieniem.

- Nie. Wspomniała tylko, że znacie się dobrze, i to od dawna.

- Wobec tego skąd wiesz? - Lewis trochę się zachmurzył.

- Rebecca mnie oświeciła.

- Ach, tak. Co jeszcze mówiła?

- Podobno Della do ciebie dzwoniła i chciała się z tobą spotkać.

- Jeszcze coś?

- Tylko tyle, że chyba umówiłeś się z nią na drinka.

- A czy moja siostrzyczka snuła jakieś teorie na temat ewentualnych konsekwencji tego spotkania? - Mięśnie wokół ust Lewisa lekko się napięły, co zaowocowało pocieszną miną.

- Być może - oględnie odparła Jo. Absolutnie nie chciała poróżnić rodzeństwa.

Ale on wyraźnie się odprężył, chyba nawet zaczął dobrze się bawić.
Rozsiadł się wygodniej i założył nogę na nogę.

- Pobudziłaś moją ciekawość, Jo. Teraz już musisz mi powiedzieć, jakie to teorie.

- Nie jestem pewna, czy powinnam...

- No dalej, Jo, nie możesz na tym poprzestać - zaprotestował. - Chcę wiedzieć, co Becky sądzi o mojej odnowionej znajomości z Della.

- Skoro musisz wiedzieć... to Becky nie była tym zachwycona - wypaliła Jo, w końcu sprowokowana do odpowiedzi. - Mówiła, że Della bardzo cię zraniła i potrafi się spustoszenie. Becky obawiała się również, że historia może się powtórzyć, ponieważ Della znów jest wolna.

- Czy to nie dziwne? - mruknął Lewis. - Becky najwyraźniej nie zna mnie aż tak dobrze, jak przypuszczałem.

- Dlaczego tak sądzisz? - Spojrzała na niego badawczo.

- Gdyby mnie naprawdę znała, wiedziałaby, że nigdy po raz drugi nie wpakuję się w taką beznadziejną sytuację.

Niepewna, do czego Lewis zmierza, patrzyła na niego w milczeniu.

- Spotkałem się z Della - kontynuował - częściowo chyba dlatego, że chciałem się przekonać, jaką miała nade mną władzę. Ale już po pięciu minutach zacząłem się zastanawiać, co, u licha, widziałem w tej kobiecie. W duchu dziękowałem mojemu ówczesnemu przyjacielowi za romansowanie z moją narzeczoną. Pośrednio oszczędził mi niewesołej przyszłości.

Jo prawie nie wierzyła własnym uszom.

- A Della? - spytała słabym głosem. - Czy miała nadzieję, że znów będziecie się spotykać?

- Początkowo pewnie na to liczyła, lecz wkrótce ona także zrozumiała, jak bardzo się różnili. Ja jestem człowiekiem rodzinnym, Jo, natomiast Della zawsze uwielbiała obracać się w wielkim świecie.

- Może powinniśmy przedstawić ją Marcusowi - zasugerowała Jo, a jej głos nieco zadrżał pod wpływem budzącej się nadziei.

- Niezły pomysł. Chyba pasowałiby do siebie. - Lewis umilkł i popatrzył na Jo. - Jak myślisz - odezwał się w końcu - czy ty i ja moglibyśmy stworzyć udaną parę?

- Och, Lew... - Jo westchnęła, przysunęła się do niego i wzięła go za rękę. Ich palce splotły się ze sobą. - Gdybyś tylko wiedział...

- Co? - Jego głos nagle zabrzmiał zmysłowo. - Spróbuj mi powiedzieć, ale...

- Tak?

- Proszę, nie nazywaj mnie „Lew”.

- Dlaczego?

- Wszyscy tak się do mnie zwracają, a ty jesteś kimś szczególnym. Chcę, żebyś zawsze mówiła „Lewis”, ponieważ wymawiasz to imię w cudowny sposób.

Ujął jej twarz w dłonie i lekko ją unióś, aby mogli spojrzeć sobie w oczy.

- Możesz mi to obiecać? - spytał niskim, wibrującym głosem.

Nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ jego wargi spoczęły na jej ustach. Poprzednio jego pocałunek był taki przelotny, że nadal czasem się zastanawiała, czy rzeczywiście się zdarzył. Tym razem jednak nie miała żadnych wątpliwości. Ten był zupełnie inny - długi i pełen żaru. Obudził w niej namiętność i pożądanie. W jednej chwili zrozumiała, że pragnie tego samego co Lewis - wspólnej przyszłości.

On zaś na moment lekko się odsunął i znów uważnie na nią spojrzał.

- Co mi odpowiesz? - spytał cicho.

- Obiecuję - szepnęła. - Ale pod jednym warunkiem.

- Jakim? - Uniósł brwi.

- Powiesz mi, co miałeś na myśli, kiedy stojąc na progu oświadczyłeś, że nie możesz dłużej czegoś znieść. O co konkretnie ci chodziło?

- Już nie mogłem dłużej zadrećczać się myślą o tym, że jesteś z Jacobsem. Musiałem wreszcie coś z tym zrobić. I nawet gdybyś nie chciała się z nim rozstać, to przynajmniej wiedziałabyś, co do ciebie czuję.

- Teraz już wiem - szepnęła.

- A gdybyś nadal nie była całkiem pewna... - Znow wziął ją w ramiona i gorąco pocałował.

Przez kilka tygodni bardzo powoli pogłębiali swój związek. Dawali sobie nawzajem czas, aby naprawdę dobrze się poznać. Chodzili we dwoje do teatru, do kina, restauracji i pubów. Spacerowali całymi kilometrami - najczęściej po parku, a raz po plaży, gdy pojechali na cały dzień do Sussex.

I bezustannie rozmawiali, opowiadając sobie o dotychczasowym życiu i rodzinie.

Często odwiedzali Cunninghamów, którzy już podczas pierwszej wizyty wcale się nie zdziwili, że Jo i Lewis są parą. Od tej pory stało się to oczywiste.

Lewis był pierwszą osobą, której Jo powiedziała o swojej ewentualnej pracy na oddziale pediatrii.

- Nawet nie jestem pewna, czy teraz chcę się przenieść. - Jo zrobiła smutną minę. - Chyba wolałabym zostać na chirurgii i być blisko ciebie.

- A ja sądzę, że powinnaś od nas odejść - oświadczył Lewis.

- Naprawdę? - spytała nieco urażona. - Dlaczego?

- Ponieważ poważnie zagrażasz mojej koncentracji. Któregoś dnia tak się na ciebie zapatrzę, że podam komuś za dużą dawkę środka znieczulającego. Wierz mi, Jo, zdobyłaś mnie już w chwili, kiedy pierwszy raz ujrzałem nad maską twoje śliczne oczy.

- To znaczy, że wcale nie potrzebowałeś mojej pomocy, a opieka nad dziećmi była tylko pretekstem?

- Ależ skąd! - Lewis parsknął śmiechem. - Po prostu miałem szczęście. Nadarzyła się okazja, żeby...

- Skoro od razu ci się spodobałam, to dlaczego wcześniej nie dałeś mi tego do zrozumienia? Wtedy, gdy mieszkaliśmy w Chilterns?

- Przecież nie mogłem wykorzystywać sytuacji - zaprotestował. - Jestem staroświecki. Byłem twoim pracodawcą, a ty obdarzyłaś mnie zaufaniem. Poza tym nie zamierzałem dawać ludziom powodów do plotek. I tak mieli o czym szeptać.

- Och, więc jednak słyszałeś to i owo?

- Powiedzmy, że zauważyłem parę porozumiewawczych mrugnięć, znaczących spojrzeń i kuksańców - odparł z szerokim uśmiechem. - Ale w pełni zrozumiałem, ile dla mnie znaczysz, kiedy ujrzałem cię w tamtej zielonej sukience. A za każdym razem, kiedy widziałem, jak odnosisz się do dzieci... Okazywałaś im tyle troskliwości, tyle czułości... Wtedy jednak - Lewis nagle spoważniał - naprawdę sądziłem, że coś cię łączy z Jacobsem.

- A ja myślałam, że jestem ci zupełnie obojętna. - Jo kapryśnie wyduła wargi.

- Musiałem trzymać na wodzy swoje uczucia. - Znow się uśmiechnął. - A wracając do sprawy twojego etatu na pediatrii, uważam, że to naprawdę fantastyczna możliwość. Uwielbiasz dzieci i przy okazji dostajesz awans.

- On oczywiście ma rację, ale będzie mi brakować tego oddziału - stwierdziła Jo.

- A nam będzie brakować ciebie - z westchnieniem odparła Pru. - A teraz przyznaj, że Lewis to atrakcyjny mężczyzna. Zawsze ci to mówiłam, prawda?

- Tak, Pru, mówiłaś. - Jo zmierzyła ją przenikliwym spojrzeniem. - A skoro drążymy ten temat, to skąd się wzięły ploteczki o tobie i Garym?

- Ech, to bzdura... - Pru lekceważąco machnęła ręką, ale Jo zauważyła, że na wzmiankę o asystencie policzki przyjaciółki wyraźnie się zaróżowiły.

- Cóż, mam nadzieję, że zmądrzał - oświadczyła Jo. - Nie chciałabym, żeby ktoś znow dał ci się we znaki.

- Wydaje mi się, że ten incydent z Marcusem nauczył Gary'ego, i paru innych, rozumu. Marcus wywierał na kolegów zły wpływ, teraz jednak, gdy odszedł... - Pru wzruszyła ramionami. - Gary nadal czasem miewa głupie pomysły, ale w głębi duszy to dobry chłopak.

- Cieszę się, że tak jest.

- A co z tobą i Lewisem? - spytała Pru. - Promieniejesz, Jo. Czy to oznacza, że między wami jest coś poważnego?

- O, tak. Chyba nigdy nie byłam bardziej szczęśliwa niż obecnie - radośnie przyznała Jo. - Chociaż początkowo - dodała z wahaniem - trochę się martwiłam. Simon tak bardzo mnie zranił, później zawiodłam się na Marcusie, i zaczęłam się obawiać, że...

- Że możesz stać się oziębła?

- Coś w tym stylu.

- Ale nie jesteś oziębła?

- Och, na pewno nie! - Jo mocno się zarumieniła. - Z Lewisem to niemożliwe. On jest po prostu cudowny...

- Miło mi to słyszeć. - Pru zerknęła na nią niepewnie. - Powiedz mi, Jo, szykuje się jakiś marsz weselny?

- Możliwe - z uśmiechem odparła Jo.

- Mamusiu! - pisnęła Francesca. - To wujek Lew!

- Jest z nim Jo? - zawołała z kuchni Rebecca.

- Oczywiście. - Ton Franceski dobitnie świadczył o tym, że coś innego byłoby całkiem nieprawdopodobne.

- Cześć, kochani. - Roześmiana Rebecca powitała ich w drzwiach. - Wspaniale, że przyszliście. Właśnie usiedliśmy w ogrodzie. Napijecie się lemoniady? Akurat ją przygotowałam.

- Chętnie, jeśli zjecie z nami te truskawki. - Lewis wręczył jej koszyk pełen owoców.

- Jakie piękne! - Rebecca odgarnęła z oczu grzywkę. - To pierwsze w tym sezonie. Idźcie do Davida, ucieszy się na wasz widok. Ja zaraz do was dołączę.

David siedział na ogrodowym fotelu w cieniu rozłożystej jabłonki.

Trzymał na kolanach Jamiego, a Alistair okupował huśtawkę.

- Patrzcie, kto przyszedł! - Francesca nie posiadała się z radości. - I przynieśli truskawki.

- To najlepsza przepustka - stwierdził David. Nadal był okropnie chudy i wyglądał mizernie, lecz niewątpliwie wracał do zdrowia.

- Cóż, chyba powinniśmy kupić raczej szampana, ale sklep monopolowy był zamknięty.

Po tych słowach w ogrodzie na moment zapadła cisza. Przerwał ją okrzyk Becky, która jako pierwsza pojęła ich sens.

- Czy to znaczy, że...? Lew? Jo?

Lewis uśmiechnął się i usiadł na trzciniowym fotelu obok szwagra.

- Tak - przyznał. - Jako najszczęśliwszy człowiek pod słońcem mówię, że to prawda.

- Co takiego? - Alistair zeskoczył z huśtawki i podbiegł do nich. Teraz pytająco popatrzył na dorosłych.

- Bierzemy ślub - odrzekła cicho Jo. Jej oczy lśniły szczęściem.

- To dobrze - stwierdził chłopiec.

- Słyszałaś, Francesco? - Rebecca spojrzała na córkę, która siedząc na trawie, bawiła się lalką Barbie. - Wujek Lew i Jo biorą ślub.

- Wiedziałaś, że tak będzie - spokojnie oświadczyła Francesca. - Nawet narysowałam ich, jak biorą ten ślub.

Jo także usiadła, uniosła twarz do słońca i zamknęła oczy. Ona również wiedziała. Wiedziała, że Lewis jest mężczyzną, z którym pragnie spędzić resztę życia. Zrozumiała to wtedy, gdy ich spojrzenia po raz pierwszy się spotkały. I przypomniała sobie o tym w tych niezwykłych, intymnych chwilach, gdy w środku nocy oboje troskliwie doglądali dzieci.

- To był cudowny dzień, pani Gregson.

- Tak, panie Gregson.

Stali na balkonie hotelowego pokoju. Lewis objął ją i przytulił. Delikatny powiew bryzy lekko marszczył spokojne wody rozciągającego się przed nimi szkockiego jeziora, a zarys odległych gór roztopiał się w wieczornej mgle.

- Zawsze będę pamiętał tę chwilę, kiedy zobaczyłem, jak idziesz główną nawą w moją stronę. Po prostu zaparło mi dech.

- A wtedy Francesca wyjrzała zza mojej sukni i pisnęła: „Cześć, wujku Lew, ja też tutaj jestem”.

Oboje parsknęli śmiechem, a potem długo stali w milczeniu, obserwując grę światła i cienia, gdy zapadający zmrok coraz bardziej spowijał krajobraz swoim miękkim płaszczem.

- Kocham cię, Jo - szepnął Lewis, całując jej włosy.

- Ja też cię kocham. - Odwróciła się i zarzuciła mu ręce na szyję, on zaś przygarnął ją do siebie i wargami odnalazł jej usta.

Długi gorący pocałunek był obietnicą tego, co miało stać się ich udziałem. Pobudzał uczucia, wzmagał pożądanie, wyostrzał zmysły i nadawał kształt marzeniom. Aż w końcu Lewis zsunął z szyi ramiona Jo i pociągnął ją do sypialni. Zamknął balkonowe drzwi i cały świat pozostał na zewnątrz.

